Nr. 22 • 28 • V • 1932

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE



ŚWIAT

HUMOR ZAGRANICZNY

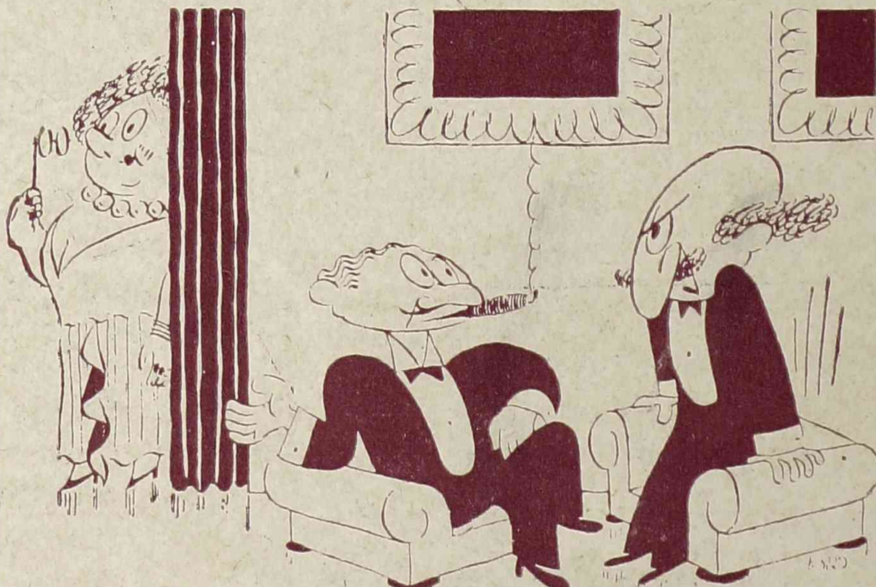


KRYZYS

— Panie doktorze, czy operacja jest nieodzowna? Bo to spowoduje wielkie straty...

— Pogrzeb również kosztuje.

— Ja się też boję, żeby nie było obu wydatków...



1 GOŚĆ. — Z tą kobietą nie chciałbym być szczęśliwym.

2 GOŚĆ (obrażony) — Panie, pan jest niegrzeczny, to moja żona.

1 GOŚĆ (przerażony) — Przepraszam pana,... bardzo chciałbym być z nią szczęśliwy.

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 28-go MAJA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 22 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Przed sezonem turystycznym

Wywiad u p. wiceministra komunikacji, inż. J. Galota

Zbliżający się szybkiemi krokami sezon wakacyjny wysuwa na plan pierwszy wyjątkowo w tym roku aktualne zagadnienie turystyki krajowej. Dzięki uprzejmości p. wiceministra komunikacji, inż. Józefa Galota, możemy podzielić się z czytelnikami programem prac rządu na tym odcinku:

— Zcalenie Ministerstwa Robót Publicznych z Min. Komunikacji i z tem związane zmiany, — mówił p. wice-minister — przeniosą dział turystyki i krajoznawstwa, rozproszony dotychczas po wielu resortach, w ramy Ministerstwa Komunikacji. Powstanie tutaj osobny Wydział Turystyczny lub Instytut, którego zadaniem będzie ułatwienie i propagowanie turystyki oraz krajoznawstwa.

Złączenie wielu komórek w jeden spoisty organizm ułatwi niewątpliwie pracę i przyczyni się do intensyfikacji ruchu turystycznego. Chociaż podwyżka opłat paszportowych czysto mechanicznie zwiększy w tym roku ruch wewnętrzno - turystyczny, staramy się ponadto stworzyć jaknajwiększą ilość udogodnień i ulg dla turystów zwiedzających kraj. Dążenia nasze idą w pierwszym rzędzie w kierunku zmniejszenia t. zw. „wskaźnika turystycznego utrzymania".

Jak żywo interesuje się rząd kwestją udogodnienia publiczności wyjazdów letnich, świadczy o tem podróż p. vice-ministra skarbu Starzyńskiego do Krakowa celem uczestniczenia w konferencji na temat turystyki, odbytej w Izbie Handlowej i poświęconej omówieniu możliwości obniżek taks kuracyjnych, cen kąpieli i t. p. Sprawa ta, pozornie łatwa, napotyka szereg trudności ze względu na już dokonane kompresje budżetów samorządowych. Obniżki taks klimatycznych zmniejszą możliwości inwestycyjne uzdrowisk, konieczne z punktu widzenia udogodnień kuracyjnych. Istnieje jednak możliwość pogodzenia tych pozornych



INŻ. J. GALOT

sprzeczności. Akcja ta wymaga w dobie dzisiejszej depresji gospodarczej szczególnie wielu wysiłków. Godna jest jednak zabiegów i starań, gdyż poza swym charakterem przemysłowo-eksploatatywnym stanowi niejako akcję społeczną. Dostarczenie ludziom ciężko przez

cały rok pracującym odpowiednich warunków odpoczynku jest kwestją dostarczenia im zapasów sił i zdrowia na następny rok pracy.

— Z drugiej strony — ciągnął p. wice-minister — losy zakładów uzdrowiskowo-letniskowych są też niemałą troską rządu. Nie wiem, czy wielu z nas orjentuje się w znaczeniu i wielkości tej dziedziny w Polsce. Dla przykładu przytoczę, że sama tylko Małopolska przyjmuje rocznie około 120.000 turystów, którzy pozostawiają tam przeszło 90 miljonów złotych. — Licząc normalny 20-stoprocentowy zysk, zarobek Małopolski z tego źródła wynosi około 20 miljonów złotych, przyczem parę tysięcy ludzi „przeżywia się" bezpłatnie przez parę miesięcy w roku.

— Czy przymus paszportowy nie stanie się, zdaniem pana ministra, źródłem eksploatowania turystów przez zainteresowane w większym zysku sfery?

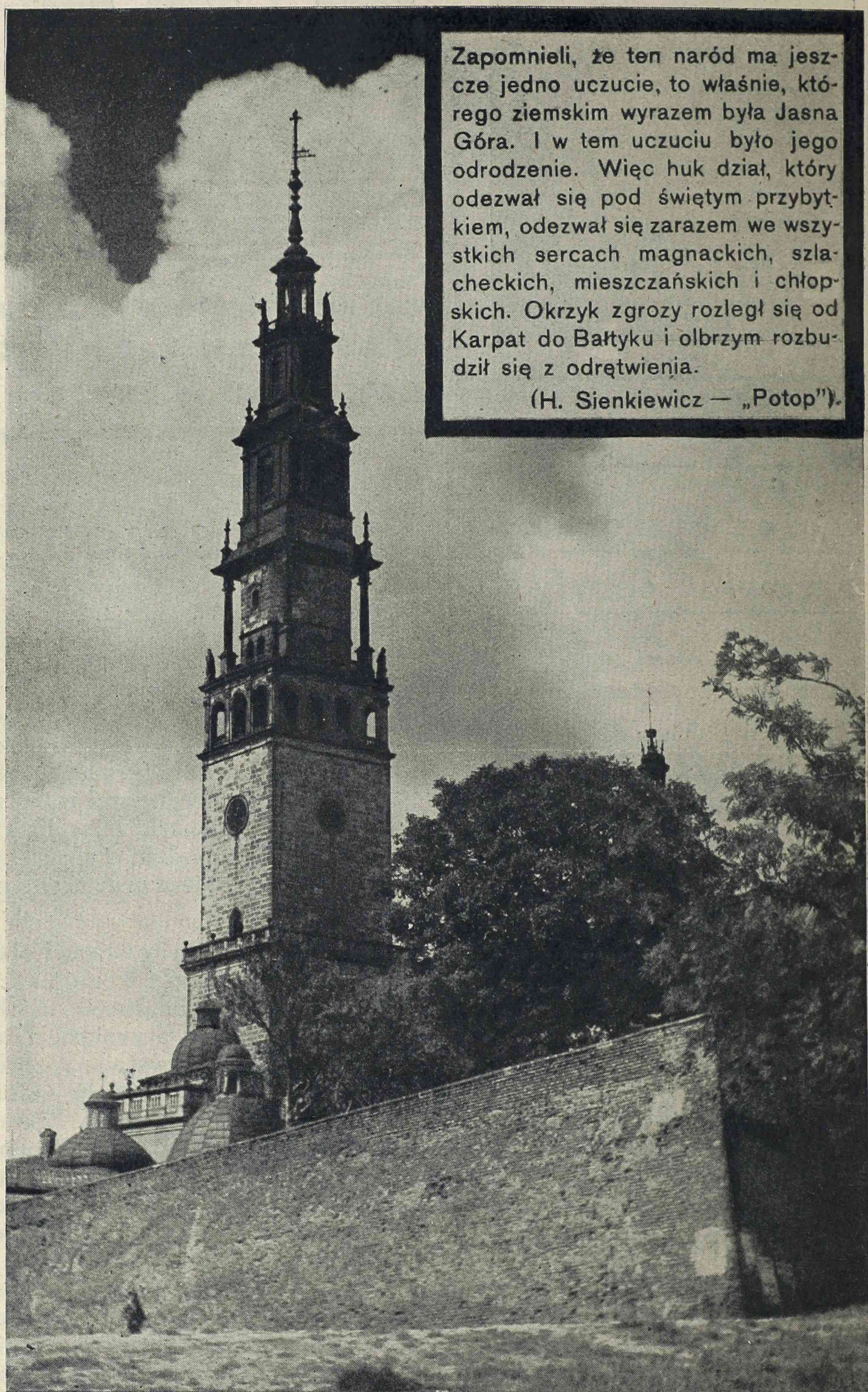
— Nie sądzę, jakkolwiek bierzemy tę możliwość pod uwagę. Przymus paszportowy, konieczny ze względu na sytuację gospodarczą, może mieć jednak swój zły wpływ na uzdrowiska i miejscowości klimatyczne. Stwarza to bowiem brak czynnika konkurencyjnego, jako koniecznego regulatora cen. Uważam jednak, że doświadczenie poprzednich sezonów będzie dostateczną lekcją dla właścicieli pensjonatów i hoteli. Okazało się bowiem, po zbilansowaniu roku zeszłego, że te miejscowości, które zniżyły ceny do minimum, osiągnęły maximum frekwencji, inne upierające się przy dawnych cenach — świeciły pustkami. Zasada niskich cen przy dzisiejszym braku środka obrotowego jest najlepszym i najpewniejszym elementem reklamowym. Muszą to zrozumieć ci wszyscy, którzy chcą iść z życiem naprzód.

— A co Ministerstwo uczyni dla ułatwienia podróży?

— Ministerstwo Komunikacji czyni wszystko, by rozplanowanie połączeń i strona informacyjna były jaknajdogodniejsze dla pasażerów. Przewidujemy także rozszerzenie zakresu zniżek kolejowych dla wycieczek i kuracjuszy. „Orbis" znowu rozpoczął akcję w kierunku ratowego systemu spłat kosztów wakacyjnych. Akcja ta obliczona jest na rzesze urzędnicze i ma wiele szans powodzenia.

Jelaud.

JASNA GÓRA



Zapomnieli, że ten naród ma jeszcze jedno uczucie, to właśnie, którego ziemskim wyrazem była Jasna Góra. I w tem uczuciu było jego odrodzenie. Więc huk dział, który odezwał się pod świętym przybytkiem, odezwał się zarazem we wszystkich sercach magnackich, szlacheckich, mieszczańskich i chłopskich. Okrzyk zgrozy rozległ się od Karpat do Bałtyku i olbrzym rozbudził się z odrętwienia.

(H. Sienkiewicz — „Potop").

Rok rocznie liczne pielgrzymki ciągną z różnych stron kraju do Częstochowy, aby pokłonić się Cudownemu Obrazowi. Bierze w nich udział lud siermiężny wsi i szare rzesze robotnicze miejskie pod przewodem bogobojnych kapłanów. Niewielu jednak przedstawicieli inteligencji uczestniczy w tych rozmodlonych i rozśpiewanych kompanjach. A przecież Częstochowa — to najświętsze miejsce Narodu Polskiego, otoczone zarówno kultem religijnym, jak i legendą patrjotyczną, wskrzeszoną i spopularyzowaną przez nieśmiertelne dzieło Sienkiewicza.

Kto nie zna Częstochowy, ten nie zna Polski — w jej tradycji i teraźniejszości. Pierwszym etapem wycieczek turystycznych musi być Częstochowa — z religijnych, narodowych, uczuciowych, a nawet geograficznych względów, leży bowiem między dwiema stolicami Polski: Warszawą a Krakowem, od których poznawanie kraju z reguły zaczynać należy.

Zwłaszcza w tym roku to piękne miasto i wspaniały klasztor powinny być licznie odwiedzane, gdyż upływa właśnie 550 lat, jak książę Władysław Opolski umieścił na Jasnej Górze cudowny obraz Matki Boskiej w małym, drewnianym kościółku. Odtąd Polska w tę stronę kieruje swój wzrok błagalny w czasach klęsk i udręki i swe dziękczynienia w dniach radości i chwały.

PARYŻ PODCZAS KRYZYSU



MOST ZGODY POSZERZONY O 15 METRÓW

NOCLEG BEZDOMNYCH NA SCHODACH, WIODĄCYCH DO KOLEJKI PODZIEMNEJ

GUSTAW OLECHOWSKI



z kraju bobra i klonu

8)

(WRAŻENIA Z KANADY)

„CZAS TO PIENIĄDZ" I CO Z TEGO WYNIKA?

Kto pozna kilka przynajmniej obcych krajów, ten musi zrozumieć, dlaczego niektóre narody męczą się w biedzie, skoro inne, będące w daleko gorszych warunkach, opływają w dostatki. Dlaczego w jednych społeczeństwach ludzie się żrą, kłócą, nienawidzą, gdy w innych żyją w stanie solidarności, przyjaźni i spokoju. Można zrozumieć.

Dzieje się to dlatego, że społeczeństwa nie znają się wzajemnie i nie mają pojęcia, że można wogóle żyć inaczej, niż one żyją. Trudno. Nie może każde społeczeństwo wszystkiego przeżyć, przemyśleć i wymyśleć. Trzeba korzystać z rozumu innych.

Północno - amerykańskie społeczeństwa dokonały w wieku ostatnim takiego gigantycznego kroku cywilizacyjnego, że Europa pozostała w tyle bardzo daleko, tak daleko, że nie może się wogóle do Ameryki dostać, choć Ameryka dostaje się do niej z największą łatwością.

Europa zgubiła się trochę w teorji i doktrynach, w nałogach i tradycji i zubożała do tego stopnia, że europejczyk nie może do Ameryki przyjechać jako turysta, by ją zobaczyć, zwiedzić i czegoś pożytecznego się nauczyć. Amerykanie za to masowo Europę odwiedzają. Jest to zupełnie zdumiewające, że na okrętach kursujących pomiędzy Europą i Ameryką na stu pasażerów turystów, bo emigrantów liczyć tu nie można, jest napewno 90 amerykanów, którzy do Europy jadą albo z niej wracają.

W Europie inteligentny człowiek, znający dobrze Amerykę, jest jeszcze rzadkością, gdy w Ameryce każdy średnio zamożny człowiek, a jest ich trzy-czwarte ludności, zna Europę.

Ponieważ Amerykanie do końca prawie wieku XIX-go żyli niejako w odosobnieniu, wytworzyli więc zupełnie odrębną kulturę, z nowemi zaletami i nowemi wadami. Teraz jednak, od lat mniej więcej 50-u, dzięki ułatwionej komunikacji i wielkiej zamożności, zbliżyli się do Europy i uczą się w niej tego, czego im brakuje. Wytwarza się więc stopniowo taka sytuacja, że Ameryka będzie miała wkrótce dwa rozumy, swój i Europy, a Europa tylko swój. Niema wątpliwości, że Ameryka zdobędzie także panowanie nad Europą drogą dolara.

Pytanie, jak kraje amerykańskie, jak Kanada, licząca zaledwie dziewięć miljonów mieszkańców, mogła dojść do tego stanu bogactwa, jaki się widzi, zaprząta umysł każdego europejczyka, który się tu zjawi i, jakby klin wbity w głowę, spokoju nie daje. Szuka się ciągle rozwiązania tego problemu. Myśl natrętna mówi: — Rób porównania, zestawiaj, waż, mierz, rachuj.

I gdy się już wszystko o Europie, a więc o Polsce i o Kanadzie, przemyślało, gdy się wszystko porównało, zestawiło, zwarzyło, zmierzyło, wyrachowało, dochodzi się do śmiesznego odkrycia, śmiesznego, bo każde dziecko w Europie ma dawno tę zagadkę rozwiązaną w kajetach szkolnych i wzorach kaligrafji:

„Czas to pieniądz".

Majątek robi się za pomocą oszczędzania czasu.

Gdy się po długiej analizie i syntezie doszło do tego prymitywnego truizmu, staje dopiero wówczas przed nami takie zagadnienie: skoro to wiemy i skoro również pragniemy się bogacić, to jakże to się dzieje, że w porównaniu do Ameryki jesteśmy takimi nędzarzami.

Kto odpowie na to pytanie — dobrze zasłuży się ojczyźnie, ale kto to rozwiązanie w czyn wprowadzi, będzie prawdziwym ojcem ojczyzny. Odkładając na później ojcostwo, pozwolę sobie tymczasem odpowiedzieć na pytanie.

Teza — czas to pieniądz, podawana u nas przeważnie z uśmiechem ironicznym, jest jednym z najgłębszych sposobów rozwiązywania problemów społecznych. Dlatego w Ameryce niema biedy. Przedewszystkiem w Ameryce pracują wszyscy, systematycznie, całe życie, a im kto bogatszy, tem pracuje więcej. Pozatem w organizacji pracy przeprowadzono tu oszczędność czasu z metodą i konsekwencją do ostatnich granic.

Na czoło systemu oszczędzania czasu wysuwa się oczywiście mechanizacja życia, począwszy od wprowadzania maszyn aż do mechanizacji temperowania ołówków. Potem idzie oszczędzanie czasu przez hygjenę i wreszcie właściwe oszczędzanie go przez rozkład pracy.

Chcąc zacząć reformy, trzeba przedewszystkiem znienawidzieć biedę, pogardzić nią, poczuć do niej wstręt, nie zaś przyzwyczajać się do niej, zżywać się z nią i paradować w niej. Trzeba poczuć wstyd biedy. Wprawdzie Chrystus urodził się najbiedniejszym z ludzi, ale nie kazał nam być biednymi, przeciwnie, powiedział, że większą zasługę mieć będzie bogacz cnotliwy, niż biedak, albowiem trudniej mu będzie wejść do Królestwa Niebieskiego, to znaczy, że musi on dokonać większego dzieła, niż biedny, musi uczynić szalony wysiłek, by ujść pokusom świata.

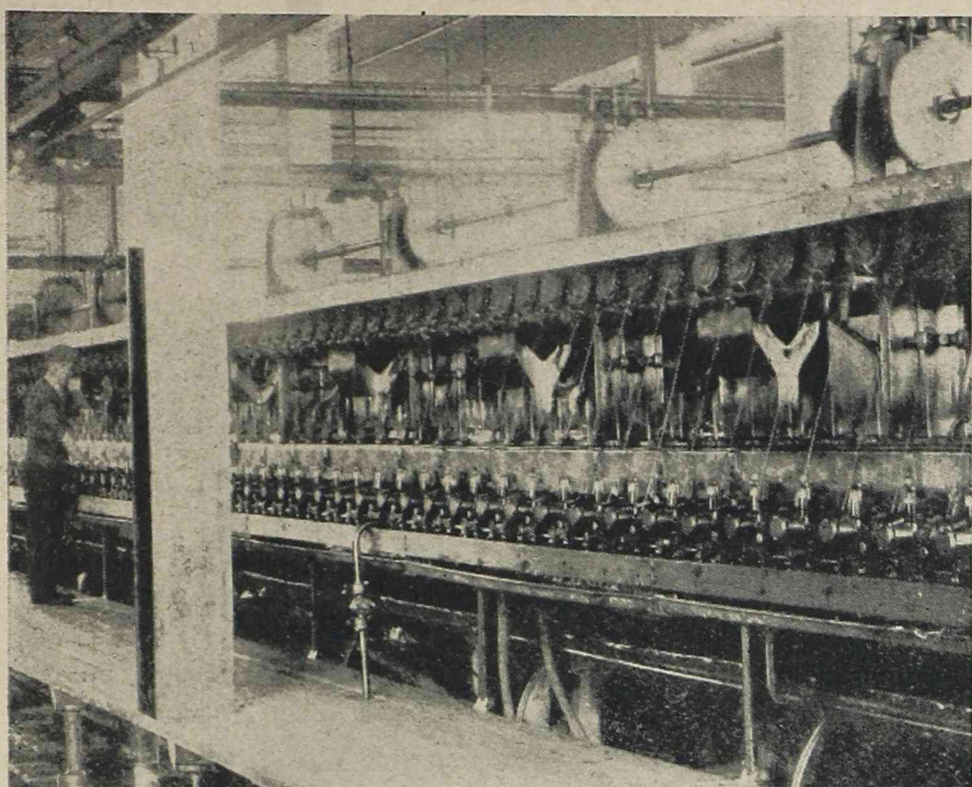
Z odejściem od biedy — to tak, jak z poprawą duszy. Trzeba naprzód wzbudzić w sobie wstręt do grzechu.

To będzie akt pierwszy do zrozumienia najgłębszej prawdy ekonomji politycznej: czas to pieniądz.

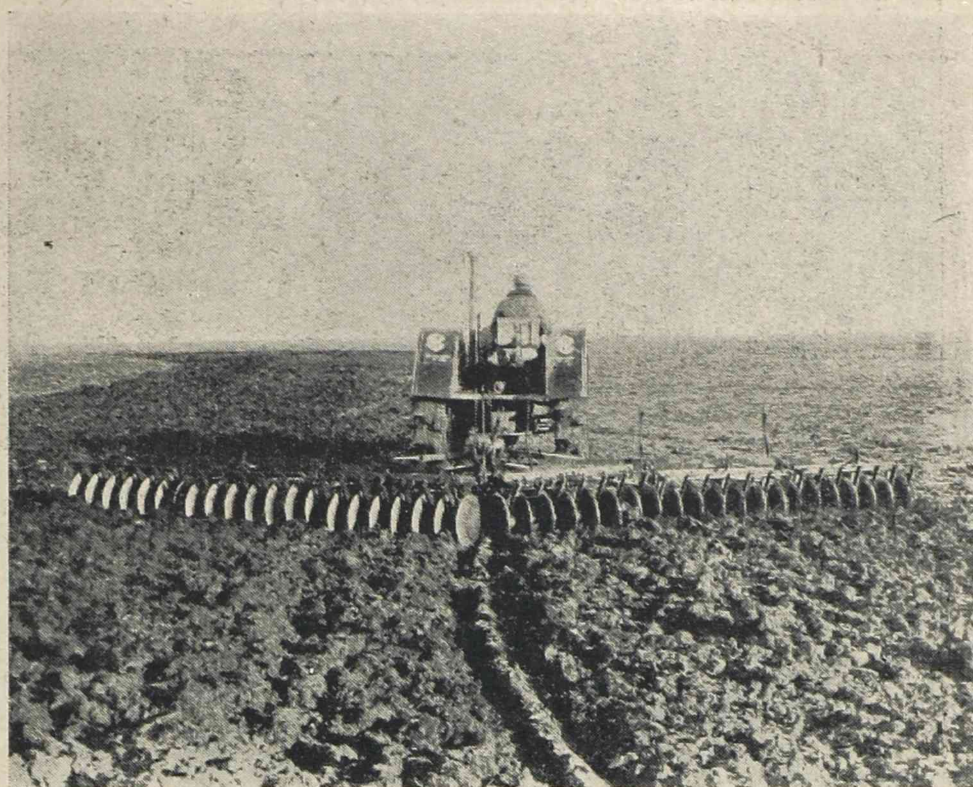
Ale czy oszczędzać czas, to znaczy spieszyć się? Czy to znaczy ciągle, bez przerwy pracować? W Polsce tak to ludzie zwykle rozumieją i rozumieją źle. Nie trzeba się ani spieszyć, ani przepracowywać.

Nierzadko spotyka się w Polsce taka scenkę:

Do lichego baru wpada o godzinie



Jeden robotnik obsługuje olbrzymi warsztat przędzalniczy



Traktor bronuje odrazu szeroki pas roli

2-ej w nocy z teczką wypchaną — pan. Zadyszany, zziajany, blady, ociera pot z czoła, wypija przy bufecie dwa większe, szuka wolnego stołu, znajduje znajomego, przysiada się. Wywiązuje się następujący djalog.

— O tej godzinie — z teczką?...

— Ach, panie, słowo honoru, jak wyszedłem rano o szklance herbaty, tak biegam cały dzień za interesami, nic w ustach nie miałem, bo nie było chwili czasu.

' No, to musi pan robić świetne interesy...

— Gdzietam, panie, czeka się godzinami w instytucjach, w ogonku, niewiadomo, kiedy kogo zastać...

Głowę można dać, że ten człowiek całe życie będzie nędzarzem. W Ameryce wyśmianoby go i to bezlitośnie.

Ten człowiek bowiem jest — z własnej winy czy z cudzej, rozrzutnikiem czasu i sił, jest samobójcą. Rozrzutnikiem, bo nie umie użyć czasu, samobójcą, bo sposobem życia i odżywiania się skraca sobie życie, ze stratą dla rodziny i kraju.

Tak rozumują w Ameryce, albowiem człowiek jest wytwórcą bogactw ogólnych. Zdrowie, humor, energja, oszczędność jednostki jest majątkiem narodowym. Człowiek nieumiejętnie administrujący sobą jest pomniejszycielem majątku narodowego.

Nędza ma tylko dwie przyczyny: albo nieszczęście, albo marnowanie sił i czasu.

Nieszczęściem jest choroba, nie wywołana przez niedbalstwo, jest kalectwo, bezrobocie, lokaut, kryzys ekonomiczny, wojna, rewolucja.

Lekarstwo na to ma państwo oraz samopomoc społeczna. Te nieszczęścia są jednak przeważnie zjawiskiem wyjątkowem. I te zagadnienia nas w tej chwili nie interesują. Interesuje nas natomiast problem nędzy, której usunięcie jest w naszej mocy.

Kanada była sto lat temu krajem tak samo ubogim, jak Polska. Stało się jednak coś, że dziś przeciętny kanadyjczyk ma własny dom, samochód, rachunek bieżący w banku, jest ubezpieczony, wesół, zdrów i spokojny, a przeciętny Polak nie ma domu, ani samochodu, rzadko który ma oszczędności, mało kto jest ubezpieczony, wszyscy są przygnębieni, małej odporności fizycznej i zdenerwowani.

Przyczyn tej niezmiernej różnicy w zamożności jest oczywiście wiele, ale najważniejszą jest organizacja życia i pracy dla systematycznego wprowadzenia oszczędności czasu przez używanie maszyn, przez hygienę i przez umiejętne dysponowanie każdą godziną.

— Jakże więc, u djaska — krzyknie w tem miejscu czytelnik — żyją tam ludzie i jak pracują... Pewno w zawrotnem jakiemś tempie, w gorączce, dzień i noc...

Nic mylniejszego.

I pośpiech i zbyt długa praca są zabójcze dla jej wydajności.

W Kanadzie ludzie pracują od 6 do 9 godzin, ale zawsze z przerwą, dla posiłku i wypoczynku.

Więc, jak to już powiedzieliśmy, hygiena bardzo czas oszczędza, gdyż chroni nas od chorób, które zabierają w Polsce niebywale wiele czasu najzupełniej niepotrzebnie, bo od przeważnej ilości chorób ustrzedz się można.

Naprz. kanadyjczycy bardzo mało jedzą, przynajmniej dwa razy mniej, niż Polacy, a w ciągu dnia pracy nigdy nie piją alkoholu, zaś mieszkają przecież w klimacie znacznie surowszym. Żadnych ciężkich potraw, żadnych zup, dużo się kąpią, utrzymują w wielkiej czystości domy i ulice, mieszkania znakomicie ogrzewają, śpią przy otwartych oknach, każdy przytem uprawia jakiś sport i to stale. Już to wszystko daje każdemu przynajmniej kilkanaście dni w roku zaoszczędzonych na chorobie i niedyspozycji, nie mówiąc o oszczędności na aptece i lekarzu.

Wymagania hygieny posunęli bardzo daleko. Pluć w tramwaju i u nas nie wolno. Ale ostatecznie co kto komu zrobi, gdy ten splunie. A w Kanadzie jest napis w tramwaju, że za splunięcie płaci się kary 40 dolarów, to znaczy 360 złotych, nasz miesięczny przeciętny zarobek. I można być pewnym, że sobie nikt na to nie pozwoli. Obdartusów i brudasów, roznoszących zarazy, niema. Ale gdyby się taki zjawił, nie byłby wpuszczony ani do tramwaju, ani do żadnego lokalu publicznego. Od człowieka kaszlącego ludzie tu uciekają, jak od zapowietrzonego.

Rozkład dnia, według jednej normy, przeprowadzony jest w Kanadzie bez żadnego wyjątku, od robotnika do ministra i od Atlantyku do Pacyfiku. O godzinie 8-ej dziesięć miljonów kanadyjczyków je śniadanie, o godzinie pierwszej lunch, czyli drugie śniadanie, bardzo lekkie, bez żadnych trunków, a wieczorem o 7-ej obiad, jako posiłek ostatni. W nocy wszyscy śpią.

Ten identyczny rozkład dnia w całym kraju jest przyczyną zaoszczędzania niezliczonych godzin, dni, miesięcy, lat. Nikt nikogo nigdy nie szuka, na nikogo nie czeka. Czekanie w słowniku tutejszym nie istnieje. Każde spotkanie anonsu-

X KONGRES PENCLUBÓW W BUDAPESZCIE



PRZYJĘCIE DELEGACJI POLSKIEJ U POSŁA NASZEGO, MIN. ŁEBKOWSKIEGO. WZIĘLI W NIEM UDZIAŁ: J. KADEN-BANDROWSKI, E. BREITER, K. WIERZYŃSKI, Z. KLESZCZYŃSKI I INNI. LITERATÓW NASZYCH OPROWADZAŁ PO BUDAPESZCIE, ZNANY PRZYJACIEL POLAKÓW PROF. J. TOMSCANYI Fot. Marjan Fuks

je się przez telefon dla wyznaczenia nie godziny, ale minuty.

I znowuż ze względów hygienicznych żaden rzemieślnik, doktór, adwokat, dentysta, agent, wogóle żaden człowiek, mający do czynienia z obcymi ludźmi, z klijentelą, nie pracuje w domu. Fabryki, warsztaty, biura, gabinety, sklepy znajdują się zawsze zupełnie oddzielnie od domu mieszkalnego, a nawet w innej dzielnicy. Przyjmowanie w domu interesantów, przychodzących nie wiadomo skąd, z jakich domów, czy nie zakażonych, jest narażeniem własnej rodziny, a więc stratą zdrowia, więc pieniędzy, więc czasu. Istnieje tu koncentracja miejsc pracy. Tak naprz. są olbrzymie kamienice, gdzie powiedzmy 40 lekarzy ma swoje gabinety, w innej — 50 dentystów, ale dom taki, zbudowany na ten cel specjalnie, ma kapitalne instalacje w danym fachu potrzebne.

Nie widuje się tu ludzi biegających z teczkami. Wszelkie interesy załatwia się przez telefon, który się znajduje w każdem dosłownie mieszkaniu, a w biurach na stoliku najmniejszego kancelisty jest telefon.

Dla oszczędzenia czasu wytworzył się naprz. taki obyczaj: Kanadyjczycy bardzo lubią odczyty, prelekcje, mowy wybitnych mężów o bieżących zagadnieniach życia. U nas takie sprawy zabierają cały wieczór czasu, kilka godzin czasem. Tu — nie zabierają wcale czasu. Ponieważ każdy obywatel ma jedną godzinę, przeznaczoną na drugie śniadanie, na lunch, więc łączą jedno z drugiem. W wielkiej sali restauracyjnej, ad hoc zarezerwowanej, lub w sali klubowej czy hotelowej o godzinie pierwszej punktualnie zasiadają wszyscy do stołów, spożywają gotowy już lunch w ciągu piętnastu minut, a gdy podadzą kawę i każdy zapali swoje cygaro, fajkę czy papierosa, wstaje zapowiedziany mówca i wygłasza odczyt, który nie trwa nigdy dłużej nad 45 minut. O godzinie 2-ej wszyscy wstają i wracają do roboty.

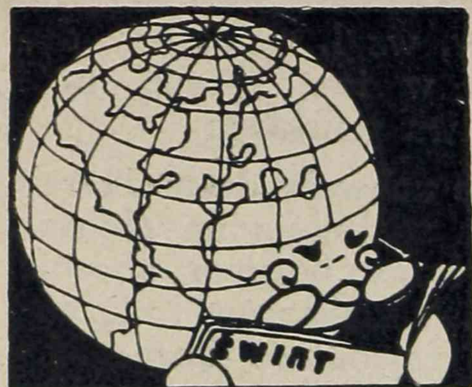
Nieprawdopodobną dźwignią dobrobytu stała się na kontynencie amerykańskim oszczędność czasu przez zastosowanie samochodu, ale nie dla przyjemności, oczywiście, lecz przy pracy. W Kanadzie jeden samochód wypada na 8 mieszkańców, a w Stanach jeden na czterech.

Ponieważ samochód nabywa się zawsze na raty dwuletnie, więc nie odczuwa się ciężaru nabycia tego potężnego środka, wiodącego do dobrobytu. Szofera naturalnie nikt nie trzyma, chyba ludzie bardzo już bogaci, którzy mają po kilka maszyn. Zajmuje nas tu jednak nie fantazja ludzi bogatych, tylko ścisły rachunek ludzi zarobkujących. Lekarz na samochodzie odwiedza dziennie trzy razy tylu pacjentów, co lekarz chodzący piechotą, zarabia więc trzy razy więcej. Polski robotnik musi mieszkać w smrodliwych wyziewach przy fabryce, przepłacając za mieszkanie w „dobrym punkcie", gdy jego kolega kanadyjski mieszka wśród pól za miastem, płaci za lokal bardzo tanio, mieszka zdrowo i amortyzuje sobie samochód tanim czynszem. Ajent od ogłoszeń odwiedza również trzy lub cztery razy tyle firm w Kanadzie, co jego kolega bez samochodu w Polsce.

Czas, czas, czas — to pieniądz.

Państwo pomaga w tem obywatelowi. Wszystkie ulice wszystkich miast zarówno, jak wszystkie szosy, są asfaltowe. Na tych samych kołach i oponach jeździ się po parę lat. Oszczędność! Tramwaje tutejsze chodzą dwa razy szybciej, niż nasze. Oszczędność! Koleje również. Reparacja butów trwa kwadrans, na poczekaniu. Zasadnicze towary w sklepach są już opakowane. Zakup trwa sekundy. Większość zakupów odbywa się zresztą przez telefon. Każdy towar odsyłają do domu.

(D. c. n.).



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.) Jeszcze nie zamarły echa zbrodniczych strzałów w Paryżu do prezydenta republiki, gdy na przeciwległym krańcu świata padł ofiarą zamachu premjer japoński Inukai. Mord ten jest objawem daleko groźniejszym od zabójstwa paryskiego. Tutaj był on czynem oszalałej czy namówionej jednostki, obcego przybysza z dalekiego kraju, wykolejeńca życiowego, niepoczytalnego manjaka. Tam powstał z myśli zbiorowej, z nastroju, panującego w armji, z pobudek, które wykonawcom zdawały się być patrjotycznemi, był zorganizowany, świadomy, celowy.

Gdy zabójstwo prezydenta Doumera nie obarcza w żadnym stopniu Francji, zabójstwo premjera Inukai rzuca ponury cień na młodzież wojskową Japonji i na całą jej strukturę wewnętrzną. Armja i marynarka wojenna tego kraju nie kontentują się zaszczytną rolą zbrojnego ramienia narodu, lecz sięgają po rządy w państwie, chcą kierować jego polityką wewnętrzną i zewnętrzną.

Zamordowanie 76-letniego starca, stojącego na czele rządu japońskiego, przez 17 młodzieńców ze szkół wojskowych jest tylko uwieńczeniem długiego szeregu aktów politycznych, podjętych przez sfery wojskowe poza plecami lub wbrew czynnikom, powołanym do rządzenia krajem.

Cały konflikt w Mandżurji sprowokowało wojsko, zajmując Mukden i zagarniając jego arsenał pod pretekstem rzekomego zburzenia przez chińczyków jakiegoś odcinka kolei, zarządzanej przez Japonję. Potem dopiero nagwałt preparowano argumenty dyplomatyczne o niewykonywaniu przez Chiny traktatu z 18 stycznia 1915 r.

Tak samo na własną rękę japoński sztab generalny przeprowadził zajęcie całej Mandżurji i zbombardował dzielnicę chińską Szanghaju.

Gdy posiadająca w parlamencie większość 273 głosów przeciwko 174 partja liberalna „Minseito" nie chciała brnąć w awanturę wojenną i jawnie łamać międzynarodowych zobowiązań, sfery wojskowe doprowadziły do dymisji gabinetu z łona tej partji, do oddania władzy w ręce konserwatywnej i bardziej wobec nich powolnej partji „Sejukwai" i przeprowadzenia nowych wyborów, które dały znakomitą większość nowemu rządowi.

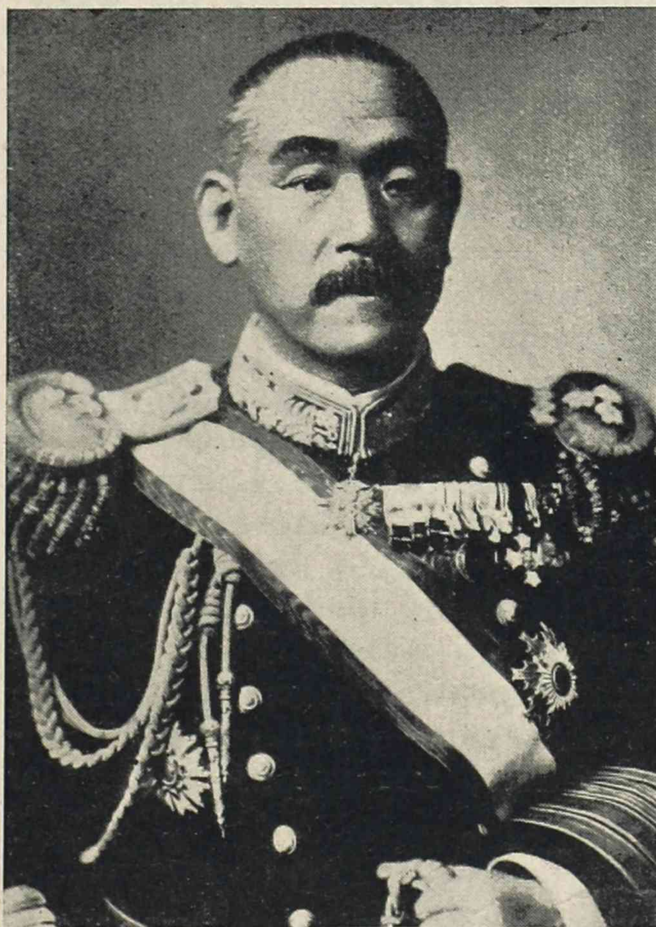
Ale i on musiał pozornie przynajmniej wypełniać obowiązki, płynące z przynależności do Ligi Narodów i z paktu Kelloga. Zburzono Chapey, zagarnięto Mandżurję, ale w Genewie oświadczano się za pokojem i przeciw zaborom. A to drażniło sfery wojskowe. Nie zadawalały się czynami gwałtu, żądały jeszcze słów brutalnych i gromkich. Zamordowano doświadczonego, dyplomatyzującego premjera za to tylko, że nie stosował metod soldateski, chociaż prowadził wybitnie wojenną politykę.

Obecnie przedstawiciele armji mają zasiąść w gabinecie wespół z towarzyszami partyjnymi zabitego, pod przewodnictwem jego współpracownika i zastępcy, admir. Suzuki. Może to jest zgodne z etyką japońską; w naszem pojęciu europejskiem nie może się pomieścić. Tak samo, jak nie możemy zrozumieć, że przy okrzykach na cześć cesarza i zachowania dlań wierności morduje się męża stanu, któremu ten cesarz powierzył misję rządzenia krajem. Dziwna lojalność i dziwny patrjotyzm!

Jakżeż ten Wschód jest inny i jakżeż to dobrze, że jest daleki.

. . . .

SPISEK WOJSKOWY W JAPONJI



ADMIRAŁ KANTARO SUZUKI OBJĄŁ PRZEWODNICTWO RZĄDZĄCEJ PARTJI „SEJUKWAI", PO TRAGICZNEJ ŚMIERCI INUKAI

(A.) Generał Weygand wygłosił w Akademji Francuskiej mowę, poświęconą pamięci marszałka Joffre'a. Przemówienie to było uroczystą inauguracją znakomitego generała na akademika. Zajął on fotel po zwycięzcy nad Marną. Elita umysłowa Francji była obecna na tem uroczystem posiedzeniu, dokumentując tak wdzięczność dla nieśmiertelnej pamięci zwycięskiego wodza, jak i uznanie dla zasług i talentów gen. Weyganda. Najbliższy ten współpracownik gen. Focha w szerokich kołach inteligencji francuskiej cieszy się wielkiem uznaniem. Z osobą jego łączą się obecnie nadzieje, iż zwycięskie, krwawo okupione laury pozostaną przy Francji. Wejście jego do Akademji nie świadczy bowiem, iż nad Sekwaną nie zdają sobie sprawy z siły i tendencji prądów rewizjonistycznych, gotujących Europie nową, wielką wojnę.

Gen. Weygand znany jest i w Polsce. Zaskarbił sobie nasze wdzięczne uczucia za udział w kampanji 1920 r.

Nowy akademik za świetną mowę swoją o marszałku Joffre otrzymał gorące, rzęsiste oklaski. Nazajutrz cała prawie prasa paryska wyróżniła tak treść, jak formę tego powitalnego, akademickiego przemówienia. Znakomity generał okazał się i znakomitym mówcą.

. . . .

(k.) Nietylko prasa paryska, ale i wielkie dzienniki całego świata żywo zajęły się małżeństwem naszego dyplomaty, p. Arnolda Mühlsteina, z bar. Rotszyldówną. Nic dziwnego. Rodzina Rotszyldów nie straciła nic z tego uroku i znaczenia, jaki posiada od stu lat z górą w sferach żydowskich, które znów dzierżą w mocnych rękach większą część prasy. Rodzina Rotszyldów, to jakby królewska dynastja żydowska: nie zasiada na tronie, lecz wpływy jej sięgają daleko i głęboko.

Inteligencja żydowska naogół sprzyja hasłom radykalnym, nie uznaje tradycji narodowych, walczy z klerykalizmem. Taż sama jednak inteligencja nie może się obronić wzruszeniu, gdy w grę

wchodzą stare obyczaje żydowskie. Więc oto dzienniki paryskie notują wrażenie, jakie wywarł podczas ślubnego obrzędu p. Mühlsteina następujący incydent: Według odwiecznego rytuału, rabin (ślub odbywał się w synagodze paryskiej) podał nowożeńcom czarę, do której oboje przyłożyli usta. Poczem pan młody wziął w ręce czarę i cisnął na posadzkę, krusząc w kawałki...

Te same dzienniki jednak, gdy chodzi o stare obrzędy innych religji lub takie, które posiadają charakter tradycji narodowej, nie szczędzą cierpkich uwag. Reakcja, klerykalizm, przesądy, kołtuństwo...

Przypomina mi to inny fakt.

Pewnego letniego wieczora jadłem kolację w ogródku Resursy Kupieckiej. Przy tym samym stole siedział adwokat pochodzenia żydowskiego, bardzo postępowych, nawet radykalnych poglądów, zdecydowany wróg klerykalizmu.

Ogród Resursy graniczy z synagogą na Tłomackiem. Zmierzchało się. Nagle ozwały się dziwne, smętne śpiewy. W Synagodze odbywały się jakieś modły. Płynęła pieśń, nacechowana religijną powagą...

Mój sąsiad przestał jeść, zamilkł. Słuchał śpiewu z widocznem wzruszeniem... Czy zbudziły się w nim jakieś wspomnienia dzieciństwa, jakieś oddalone przeżycia? W pewnym momencie wydało mi się, że łza błysnęła w oku...

Śpiew ustał, i wróciliśmy do przerwanej rozmowy. Adwokat jął na nowo piorunować przeciw postępom reakcji i klerykalizmu.

. . . .

(X.) Londyn kulturalny omawia obecnie dwie niezwykłe wiadomości: spadek po Ed. Wallace'ie, autorze słynnych kryminalnych powieści, i rekordową szybkość pisania p. Urszuli Blum, następczyni jego w tym dziale twórczości.

Po rozrachunkach okazało się, że zniknęły miljony Wallace'a. Wdowa po głośnym autorze ledwie, ledwie mogła uporać się z zobowiązaniami. Po śmierci Edgara Wallace'a prasa angielska podawała, iż pozostawił poważny spadek!

Wiele też drukowano wiadomości o rekordowej szybkości, z jaką pisarz ten komponował swoje utwory. I to okazało się zawodne. Znalazła się bowiem młoda angielska autorka, p. Urszula Blum, która potrafi napisać powieść w 4 dni. Tak powstała, podobno, jej powieść p. t. „Pamiętnik żony marynarza", czytana obecnie szeroko w Anglji.

Żyjemy w epoce rekordów! A jednak napisanie powieści w 4 dni — to naprawdę sensacja.

. . . .

(sk.) Obchód jubileuszowy, którym uczczono w Teatrze Wielkim w ubiegły poniedziałek Józefa Weyssenhoffa, mimo najlepszej niewątpliwie woli organizatorów, nie wydał mi się godnym zasług znakomitego pisarza. Przy takich okazjach odczuwa się dotkliwie brak Akademji, któraby uroczystości nadała swój autorytet i powagę. Lecz skoro Polska, mając pieniądze na forsowanie eksportu cukru czy bekonów, nie może znaleźć ich na naczelną instytucję literacką, czyżby nie należało tego rodzaju obchodów przenieść do Pałacu Staszyca, — czy Towarzystwo Naukowe nie mogłoby się niemi zaopiekować? Byłby to powrót do dawnych tradycji. Weyssenhoff nie był wprawdzie uczonym: był i jest jednak takim mistrzem języka polskiego, że godzien jest Pałacu Staszyca... Zaś składane wieczorki z deklamacją i „częścią koncertową" możnaby zarezerwować na pomniejsze uroczystości.

. . . .

(O.) W prasie naszej rewolwerowej w celach konkurencyjnych ukazują się coraz bardziej niesamowite sensacje! Harce te mają niby zainteresować i zdobyć czytelników. Wielokrotnie już wskazywano na zgubny wpływ tego typu lektury. Jest ciekawe, iż tym razem ukazuje się głos protestu z Krakowa. Syndykat dziennikarzy, rezydujący w podwawelskim grodzie, na ostatniem swem walnem zebraniu uchwalił następujące, znamienne rezolucje:

1) Walne Zebranie Syndykatu Dziennikarzy krakowskich stwierdza, że działalność t. zw. prasy „rewolwerowej", która pod płaszczykiem bądźto tępienia nadużyć, bądź też pod płaszczykiem krzykliwego i źle pojętego patrjotyzmu uprawia pospolite szantaże i wymuszenia — zasługuje na jaknajbardziej stanowcze potępienie.

2) Stojąc na straży honoru pracy zawodowej, Walne Zebranie stwierdza, że zorganizowane dziennikarstwo w Polsce nie ma nic wspólnego z osobnikami, zatrudnionymi w pisemkach „rewolwerowych", którzy nadużywają tytułu dziennikarzy, wzgl. redaktora, dyskredytując w ten sposób ogół dziennikarstwa polskiego.

Słuszne te uchwały dziennikarzy krakowskich zasługują na głębszą refleksję. Mamy bowiem obecnie zbyt wielu... „redaktorów", nieznanych bliżej zawodowo zorganizowanym, wykwalifikowanym kolegom.

. . . .

(B.). Ideje Karola Darwina, wypowiedziane w kapitalnem dziele pt. „O pochodzeniu gatunków", już dawno zdobyły decydujący wpływ na rozwój nauk przyrodniczych. Przypomina je obecnie znów prasa całego świata a to z okazji pięćdziesięciolecia zgonu tego znakomitego badacza. Jest ciekawe, iż do ugruntowania zwycięstwa idei Darwina znakomicie przyczynił się Grzegorz Mendel, mnich katolicki. Jego doświadczenia nad krzyżowaniem roślin ustaliły prawa dziedziczenia cech kwiatów, potwierdziły „dobór naturalny". Działo się to w r. 1864. „Mendelizm" wtedy nie znajdował posłuchu. Dopiero w 1900 r. trzej badacze H. de Vries, C. Correns i E. Czermak, ocenili zasługi naukowe tego katolickiego mnicha, zapewniając zwycięstwo darwinizmowi wśród światłych umysłów.

Wśród ciemnoty Karol Darwin jeszcze i dziś uchodzi za twórcę uproszczonej teorji pochodzenia człowieka od małpy. Warto jest przypomnieć i u nas tę ważną dla nauki rocznicę.

. . . .

(k.) Zebranie giełdy. Gorąco. Pusto. Grobowo.

Jeden z finansistów do drugiego, bardzo poważnie.

— Kryzys skończył się.

— ? ?...

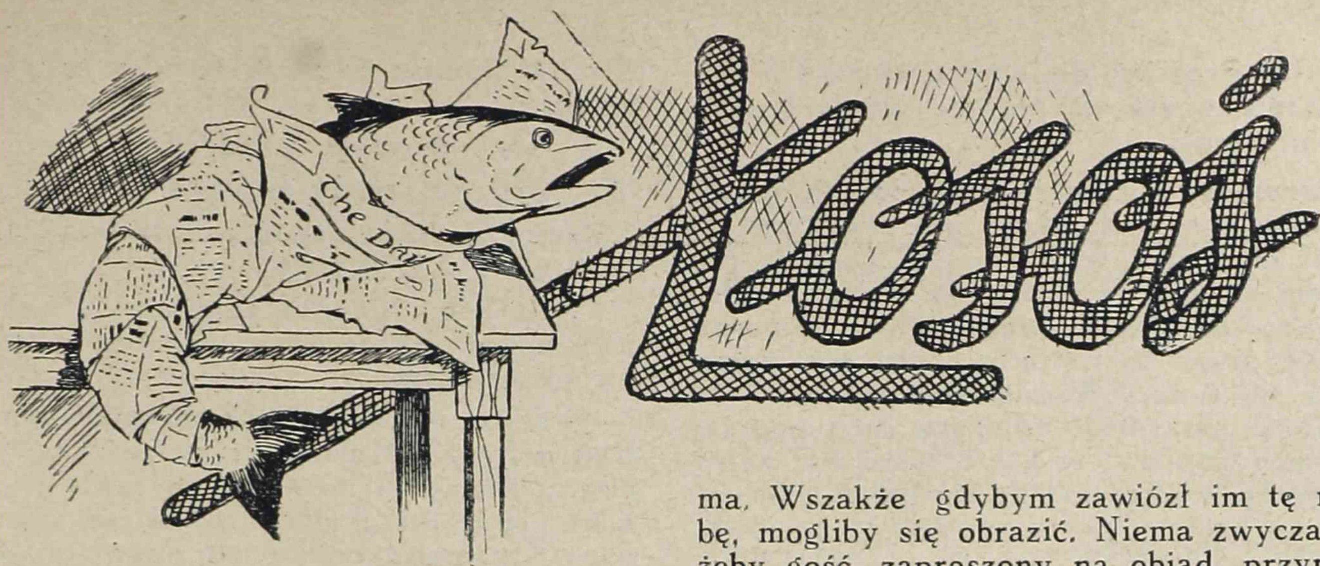
— Zaczęła się katastrofa.

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Na wielkim bankiecie politycznym w New-Yorku wygłosił Paderewski przemówienie, uzasadniające prawa Polski do Pomorza. Mowa wywarła olbrzymie wrażenie w całej Ameryce.

Wybuchły przesilenia gabinetowe w Austrji, Belgji i Grecji. Nowy rząd austrjacki stworzył dr. Dollfus (chrz.-społ.); sformowanie rządu belgijskiego powierzono ponownie Renkinowi; kto zastąpi Venizellosa — jeszcze niewiadomo.



Do mieszkania p. Aleksandra McClech przyniesiono dużego łososia. Było już po jedenastej, p. Aleksander leżał jeszcze w łóżku. Barlick stał w sypialni pana, przyniósłszy tę nowinę z wyraźnem zadowoleniem. Któż mógł przysłać tak małemu domowi tak wielką rybę? Pani McClech była wraz z panną służącą w Szkocji, do spożycia olbrzyma pozostawał tylko pan i Barlick. A zresztą czy pan sam nie wyjeżdża dziś jeszcze na week-end.

— I mówisz, że niema żadnego listu, żadnej karteczki?

— Niema niczego, proszę pana.

— Moja żona jest w krainie łososi, lecz nigdy nie zezwoliłaby swojemu gospodarzowi wysłać tu łososia, gdyż wie, że nie moglibyśmy go zjeść. Wie również, że wyjeżdżam na koniec tygodnia do Catteran'ów.

— Ryba nie przyszła koleją, proszę pana. Przysłali ją ze składu ryb, Gill i Giggleswick na Bond Street.

— Dlaczegoś odrazu tego nie powiedział?

— Bo to nam nie wyjaśnia, kto ją przysłał, a zresztą sądziłem, że pan będzie wolał dowiedzieć się szczegółów potrochu.

P. Aleksander uśmiechnął się. Tajemniczy łosoś bawił go i wcale nie pragnął natychmiastowego rozwiązania zagadki. Barlick znał go na wylot.

— Najwidoczniej pomyłka panów Gill i Giggleswick.

— Niemożliwe, proszę pana. My tam nigdy nie kupujemy. Pani kupuje w Army and Navy, albo w Rybkolu. Gill i Giggleswick nie mogliby mieć naszego adresu, gdyby im ktoś go nie dał.

— Pozostaje nam zasięgnąć informacji u pana Gill'a lub pana Giggleswick'a.

Goląc się, p. Aleksander zastanawiał się, co zrobić z rybą. Byłoby nonsensem zostawić ją, aby się zepsuła w mieszkaniu. Barlick i kot nie zjedzą siedmiu kilo, a Cecylja wróci dopiero w poniedziałek. Pozatem, nie codzień ma się łososia do podarowania i warto skorzystać z takiej okazji zrobienia komuś przyjemności. Komu by go dać? Trzeba się poradzić Barlicka.

Barlick zasiadł przy maszynie do pisania, podczas gdy pan jego jadł śniadanie; był nietylko wzorowym służącym, lecz i sekretarzem.

— Czy nie wypadałoby zabrać ryby ze sobą, co? Jeśli Catteranowie spodziewają się wielu gości, możeby im się przydała.

— A czy w pobliżu niema, proszę pana, jakich rzek z łososiami.

— Co znowu. Tam wogóle niczego niema. Wszakże gdybym zawiózł im tę rybę, mogliby się obrazić. Niema zwyczaju, żeby gość, zaproszony na obiad, przynosił jedzenie ze sobą.

— Przy obecnych podatkach, proszę pana, nikt nie jest tak bogaty, żeby odmówić przyjęcia prezentu.

— Och, nie odmówiliby. Ale Catteran kpiłby sobie ze mnie. A jakby to raz poszło w kurs, gdziekolwiekbym się zjawił, zarazby mnie się pytano: „A łosoś jest?" Wolę nie ryzykować. Wiesz co, Barlick, damy rybę panu Tendering. Pisz zaraz: „Drogi Kauzyperdo! Łowiąc dziś rano krewetki w stawie parkowym". . Nie, tak nie można. On nie znosi żartów. „Drogi Kauzyperdo! Żonie mojej świetnie się powodzi w Szkocji, chwyta czasami po trzy łososie na raz."

— Pan Tendering wie, że pani nie umie ryb łowić. Słyszałem, jak o tem mówili.

— Więc cóż do djaska mam powiedzieć?

— Czy mogę za pana ułożyć?

— Pisz.

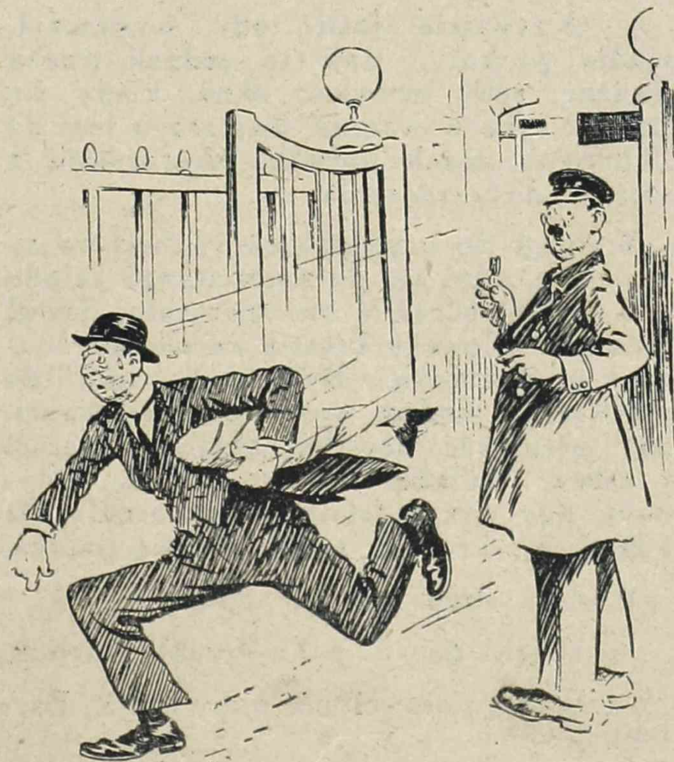
Po chwili Barlick czytał głośno: „Drogi mecenasie! Przysłano mi pięknego łososia. Żona moja bawi w Szkocji, a ja wyjeżdżam dziś na dni kilka. Czy zechcesz przyjąć rybę odemnie? Twój oddany"...

— Podpiszę się, ale on zaraz pozna, że nie ja pisałem.

Tendering był adwokatem, obarczonym liczną rodziną i Aleksander wiedział, że łosoś będzie tam mile widziany. Nie podobało mu się wszakże przyznanie, że pozbywa się rzeczy niepotrzebnej.

Barlick wyszedł z paczką, zawierającą łososia i po niedługim czasie wrócił, oznajmiając, że służba przyjęła paczkę i że odpowiedzi nie było.

— Dobrze! A ja teraz zdążę zajść do Gill'a i Giggleswick'a. Pociąg mój odchodzi o pierwszej pięćdziesiąt. Muszę przecież podziękować ofiarodawcy, choć, mówiąc między nami, musi to być osioł, kiedy przysłał siedmiokilowego łososia młodej i bezdzietnej parze.


...nie czekając na zezwolenie, skoczył na peron.

— Czy mam oczekiwać pana z walizką na dworcu.

— Nie. Toby ci popsuło popołudnie. Zawołaj taksówkę, wezmę walizkę z sobą do klubu.

W godzinę po wyjściu pana Aleksandra przyniesiono telegram. Barlick miał upoważnienie do odczytywania depesz w nieobecności pana. Barlick był z natury blady, lecz w tej chwili stał się blady, jak ściana.

Depesza brzmiała:

„Uprzejmie proszę przywieść łososia, którego kazałem odesłać do ciebie".

A więc ten potwór należał do p. Catteran, a panu powierzono odwiezienie go na wieś. Pan Catteran napewno myślał, że pan przyjeżdża samochodem, nie wiedząc, że pani zabrała auto do Szkocji. Co robić teraz, gdy darowali łososia? Trzeba pana natychmiast zawiadomić i inną rybę kupić. Za godzinę pociąg odchodzi. — Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę służącego. Skoczył do telefonu. Niestety, pan wyszedł z klubu pięć minut temu. Barlick dzwonił napróżno do innych klubów, restauracji, nawet do Gill'a i Giggleswick'a. Pozostawał jeszcze dworzec, jako miejsce spotkania, lecz co panu przyjdzie z tej wiadomości bez ryby. Nie można było zabrać łososia od pana Tenderinga, więc Barlick przeliczył papierki w portfelu i wyruszył do znajomego sklepu. Tu mieli tylko kawałki łososia. Barlick wskoczył do taksówki i pojechał do drugiego sklepu, w którym, jak się okazało, wcale łososi nie mieli. W trzecim znalazł się potwór dwudziestokilowy, lecz byłoby szaleństwem go kupować. W rozpaczy pojechał do Gill'a i Giggleswick'a. Wiwat! Jest ryba tej samej mniejwięcej wagi. Barlick szybko wypłacił 4 funty, będące rzekomo najniższą ceną i nie chciał czekać na dokładne zapakowanie.

— Otrzymaliśmy taką parkę dziś rano — zauważył pan Gill. Drugiego łososia odesłaliśmy panu McClech.

— Wiem coś o tem — jęknął Barlick i skoczył do taksówki.

Szofer spisał się i dowiózł go na dworzec na czas. Tam jednak nie chciano go przepuścić bez biletu.

— Paczka dla pasażera! — ryczał Barlick. — Muszę oddać! Paczka dla pasażera! Popsuje się...

— Proszę o bilet peronowy.

— Niema czasu. Masz pan szylinga. Puszczaj pan.

Pociąg już ruszał i Barlick nie czekając na zezwolenie, skoczył na peron. Nie było czasu szukać pana, gdzieś tam w pierwszej klasie zagłębionego w gazetach. Barlick szarpnął drzwiczki ostatniego wagonu trzeciej klasy i wskoczył do środka.

Kolejarz przetarł czoło i przez czas jakiś mówił do siebie szeptem.

— A to mnie wpakował. Cztery godziny bez zatrzymania się, za szylinga! — I poszedł do zawiadowcy zdać raport.

* * *

Po wyjściu z mieszkania p. Aleksander załatwił parę interesów, poczem od-

wiedził sklep z rybami na dobry kwadrans przed przybyciem tam służącego.

Pan przysłał mi dziś rano łososia. Jestem McClech.

— Tak, proszę pana. Mieliśmy zaszczyt posłać panu piękną rybę.

— Ależ ja jej nie zamawiałem.

— Istotnie. Była zamówiona przez stałego naszego klienta, pana Catteran.

— Do licha. Przepraszam. Kto zamówił?

— Pan Catteran. Oto telegram. „Proszę posłać siedmiokilowego łososia do pana McClech 187 Mount Street".

— Fatalnie się stało. No, ale to pana nie obchodzi. Żegnam pana, panie Giggleswick.

— Gill, do usług.

Wpadł do taksówki i kazał się wieźć na Mount Street. Oczywiście, Catteran nie byłby przysłał łososia w darze komuś, kto miał do niego przyjechać. Prawdopodobnie ma coś z tym łososiem zrobić i może w domu czeka list z wyjaśnieniem.

Znalazłszy w domu depeszę, pan Aleksander zmartwił się podobnie, jak Barlick, lecz po chwili wybuchnął śmiechem.

— Tendering miał szczęście. Nie mogę posłać Barlicka, aby mu zabrał rybę. Muszę sam kupić łososia, albo jechać bez ryby.

Panu powiodło się lepiej, niż służącemu. W pierwszym sklepie dostał ośmiokilowego łososia za niecałe pięć funtów szterl. Popędzał subjektów, żeby zdążyć na pierwszą pięćdziesiąt.

Lecz czas i londyńskie ulice nie są ze sobą w zgodzie. Jadący autem może być bardzo blisko, a zarazem bardzo daleko. Taksówka wjechała w zator.

Spóźnił się... Nie było połączenia aż do dnia następnego o tej samej porze. P. Aleksander wrócił z rybą na Mount Street.

* * *

Aleksander zwykł był mawiać potem, iż dlatego nie odbył tych czterystu kilometrów wynajętem autem, że niepokoił się o Barlicka. Nieład, w jakim Barlick zostawił mieszkanie, był czemś zupełnie niezwykłem i oszołomiony p. Aleksander nie pomyślał, że powinien był zategrafować do Catterana. Telefonować nie mógł, gdyż mieszkał na takiem odludziu, gdzie telefony nie istniały.

Popołudnie było gorące. P. Aleksander wiedział, że gorąco szkodzi rybie, a chciał ją przecież przetrzymać świeżą do jutra, gdy wyruszy na wieś. Gdyby był Barlick, posłałby go po lód. Co robić? Zaniósł wielką rybę do łazienki, położył na dnie wanny i puścił zimny prąd. „Dlaczego ta wstrętna bestja unosi się w wodzie — zauważył po chwili. — Nieżywy łosoś nie powinien pływać. Widok jego odbiera mi apetyt, nie będę mógł go jeść u Catteranów".

P. Aleksander czekał dość długo na służącego, wreszcie znudziło mu się, poszedł do teatru, potem na kolację i do kabaretu. Kiedy powrócił do domu o czwartej rano, nie było śladu Barlicka.

To niesłychane! Prawda, że mógł robić, co chciał w nieobecności pana, lecz zaniedbał spełnić przedtem swoich obowiązków w mieszkaniu. Poza tem przeczytał przecież depeszę Catterana i widocznie wcale się nią nie przejął? Pożałuje tego.

Przespawszy się kilka godzin, wyszedł po papierosy. Spotkany na ulicy przyjaciel zatrzymał go blisko pół godziny, poczem wrócił do domu po walizkę i łososia. Był w bardzo złym humorze, gdyż przez tę wstrętną rybę nie wykąpał się rano. Wsunąwszy papierosy do walizki, przyniósł odłożone dnia poprzedniego papiery, w które łosoś był zapakowany, i wkroczył do łazienki.

Ryby nie było...

Co się z nią mogło stać. Może Barlick



Ryby nie było!...

powrócił wczoraj późno, znalazł łososia i umieścił go w odpowiedniejszem miejscu. Lecz dokąd Barlick poszedł wówczas i gdzie mógł ulokować łososia?

Zbliżała się dwunasta. Nie było wiele czasu, jeśli miał znaleźć drugiego łososia i zdążyć na pociąg. Przetrząsnął całe mieszkanie, nigdzie łososia nie było. Ktoś go zabrał.

— Jeśli go Barlick nie zabrał, może sam ożył. Łososie skaczą, jak mi się zdaje. Okno w łazience jest otwarte.

Wyjrzał przez okno na podwórze. Na asfalcie ani śladu łososia.

— Oczywiście jeśli tędy wyskoczył, zjadły go koty. Jak to jednak trzeba uważać, żeby zamykać okno, kiedy się trzyma rybę w wannie. Napiszę o tem do „Times'a", niech ludziska skorzystają z mojego doświadczenia.

Wybiegł do przedpokoju i chwyciwszy kapelusz, udał się do najbliższego składu ryb. Znów szczęście mu sprzyjało, dostał jedenastokilowego łososia za siedem funtów z dokładką. Było już wpół do pierwszej i pędem wrócił do mieszkania, aby przegryźć kawałek chleba z serem i zabrać walizkę. Pięć minut nie upłynęło, gdy drzwi frontowe otworzyły się i Barlick wkroczył, niosąc wielką paczkę.

P. Aleksander zapalił papierosa.

— Dzień dobry panu—rzekł Barlick.

— Wymawiam ci od pierwszego, Barlick.

— Spodziewałem się tego, proszę pana.

— Co tam niesiesz?

— Łososia, proszę pana.

— A więc to ty zabrałeś mi rybę z łazienki?

— Nie rozumiem pana.

— Jeśli to jest łosoś, skąd go masz?

Zanim Barlick dokończył opowiadania, pan uścisnął jego rękę.

— Barlick, jesteś nieoceniony. Trzeba nam nowej wojny, żeby cię użyć w sztabie generalnym.

— Kiedy wysiadłem, zatrzymali mnie. Byli ostrzeżeni telefonicznie, że jadę bez biletu. Pozwolili mi wreszcie zapłacić za bilet, lecz tylko dlatego, że samochód pana Catterana czekał na mnie, to jest na pana.

— A co powiedział pan Catteran?

— Był bardzo grzeczny i kazał mnie jaknajwygodniej przenocować. Powiedział, iż wiedząc, że pan jest katolik i w piątek jada tylko ryby, których w tamtych stronach nie można dostać, pozwolił sobie zamówić łososia i prosić pana o przywiezienie go.

— Czyś mu powiedział, że depesza spóźniła się i że darowaliśmy łososia?

— Nie, panie. Nie wiedziałem, czy pan życzyłby sobie, żeby o tem mówić.

— Bardzo dobrze. Ale dlaczego wróciłeś z łososiem?

— Bo piątek już się skończył. Pan może dziś jeść wszystko. A pan Catteran nie lubi łososia. Powiedział, że przyjmą go z powrotem w sklepie.

— Być może. Ale sklep nie weźmie z powrotem dwóch. To jest, właściwie jednego z nich nie mam, więc nie mogę go odnieść.

— To jest bardzo dziwne, proszę pana. Pan mówił, że go włożył do wanny?

— Tak i domyślam się, że łosoś ożył w świeżej wodzie, a wyskoczywszy przez okno, kark skręcił i został pożarty przez kocury.

Barlick poszedł do przedpokoju i nacisnął guzik elektryczny. Po pewnym czasie ukazał się dozorca, który wyjaśnił, że rano, zaraz po wyjściu pana, przyszedł człowiek ze składu ryb i pokazał telegram, cofający zamówienie łososia. Ponieważ w nieobecności mieszkańców dozorca miał upoważnienie wejścia do mieszkania, skorzystał z tego — odnalazł w łazience łososia, który już spęczniał od wody, wytarł go ręcznikiem, zapakował i oddał temu, który twierdził, że jest prawowitym właścicielem.

— Jeśli źle zrobiłem, proszę pana — zakończył dozorca — to bardzo przepraszam, ale niech pan się nie martwi, bo właśnie przyniesiono od państwa Tendering paczkę, która wygląda na drugiego łososia. Człowiek, który ją przyniósł, mówi, że państwo są z całą rodziną w Szkocji, więc odniósł go, bo się boi, żeby się nie popsuł.

P. Aleksander wybuchnął śmiechem i po chwili wykonywał jakiś dziki taniec, trzymając oburącz trzy piękne ryby.

— Znów się pan spóźni na pociąg — ostrzegał Barlick.

— Pal licho pociąg! Zostaję w domu i wydaję przyjęcie łososiowe...

Pani Cecylja wróciła w poniedziałek z gór. Opowiadała z ożywieniem, że namówiono ją na zarzucenie wędki; ze zwykłem u początkujących szczęściem schwytała łososia. Gospodarz zmusił ją do zabrania ryby ze sobą, mimo jej wielkości. Odetną sobie kawałek, a resztę może odeślą tym sympatycznym Tenderingom o tak licznej rodzinie...

 Fot. The New York Times



Pięćdziesiąta rocznica urodzin ex-kronprinca Wilhelma zgromadziła w jego zamku „Cecilienhof", wszystkich generałów, którzy brali udział w walkach na froncie francuskim pod jego dowództwem. Przybył też złożyć dynastyczny hołd marszałek polny, gen. von Mackenzen.



Wilhelm II, ex-cesarz Niemiecki, w towarzystwie żony swojej, Herminy, odwiedza chętnie sąsiadów w okolicy Doorn, baronów holenderskich. Przy wizytach takich zachowuje się ceremonjał dworski. Arystokracji miejscowej pochlebiają stosunki z ex-kaizerem.

Konkurs „Świata" dla miłośników fotografji

Temat: WIOSNA

Pierwszeństwo będą miały zdjęcia kompozycyjne, już to łączące krajobraz z postaciami i scenami z życia, już ujmujące „wiosnę" w sposób symboliczny.

Zdjęcia winny być odbite na papierze błyszczącym i w rozmiarach niemniejszych jak 9 × 6 cm.

Do każdej nadesłanej fotografji należy dołączyć w zamkniętej kopercie kartkę z nazwiskiem i dokładnym adresem (pożądane będzie wskazanie wieku i zawodu). Należy również wymienić nazwę i typ aparatu, którym dany miłośnik się posługuje.

W konkursie mogą brać udział Prenumeratorzy i stali Czytelnicy „Świata". Do udziału w konkursie pp. Prenumeratorów uprawnia kwit z opłaconej prenumeraty za ostatni miesiąc, stałych Czytelników obowiązuje natomiast dołączenie czterech kuponów konkursowych, które umieszczone będą w czterech kolejnych zeszytach „Świata", począwszy od zeszytu bieżącego.

Fotografje, przeznaczone na konkurs winny być nadsyłane do redakcji „Świata" (Warszawa, Szpitalna 12) do dnia 15 czerwca r. b., poczem już nie będą przyjmowane do konkursu. Na kopertach należy zaznaczać: Konkurs „Wiosna".

Fotografowie zawodowi nie mogą brać udziału w Konkursie, mogą jednak nadsyłać zdjęcia na temat „Wiosny" po za konkursem.

Pięć najlepszych pod każdym względem prac otrzyma piękne nagrody, które w sposób bardziej szczegółowy zostaną określone w najbliższych zeszytach „Świata". Prócz tego szereg lepszych zdjęć otrzyma wyróżnienie.

Redakcja zastrzega sobie prawo reprodukcji zdjęć nagrodzonych i wyróżnionych.

Skład sądu konkursowego będzie ogłoszony we właściwym czasie.

Wydawnictwo „Świat".

KUPON upoważniający do wzięcia udziału w konkursie fotograficznym „ŚWIATA" **Nr. 4**

EMANUEL RAMBERT

Z LIRYKI FRANCUSKIEJ

W nieugiętej, surowej trwa Valsainte klauzurze.
Mnisi, kartuzi, mają dzień jedyny w roku,
Gdy furta w starożytnym uchyla się murze.
Wychodzą po dwu razem, kolejno, na stoku
Wzgórz pobliskich zaczerpnąć powietrza
[świeckiego,
Najczęściej na wysoką Berra. Z szczytu góry
W równiny jasnej zieleń ich spojrzenia biegą,
Zamkniętej przez Sarinę i podnóża Jury.
Wracają w porze zmierzchu, nim noc świat
[spowije.
Jeśli niebo jest czyste, sławią łaskę Pana,
Lecz gdy ołowiu barwą cały kraj deszcz kryje,
Lub gdy przesłoni widok ze wszech stron mgły
[ściana,
Co się, jak ciężka masa, po równinie toczy,
Mówią, że Bóg najlepiej wie, do czego zmierza,
I że prawdziwem słońcem jest to, które oczy
Wewnętrzne nawróconych światłem swem uderza.

Z góry dwaj z nich pewnego wieczora schodzili,
Jeden — młodzianek, drugi z głową siwowłosą.
„Bracie — rzekł starszy — trzeba mi wytchnienia
[chwili,
Znużone stopy bolą, kolana nie niosą."
Usiadłszy na wzniesieniu wzgórza obok siebie,
Pokrytego murawą miękką, spoczywali,
Patrząc, jak wiatr rzeźwiący kwiaty wkrąg
[kolebie,
Jak łuną wśród czerwonych oparów się pali
Słońce, jak promieniami miota w nie ukośnie,
Kładąc połysk na łąki z stogami barwnemi,
Lśniąc na melancholijnej gęstych lasów sośnie,
Małych skałkach porówni z wirchami dumnemi.

I kiedy tak siedzieli, z najbliższej doliny
Skowronek się samotny poderwał w ich oczach
I wzbił się na skrzydełkach chyżych w przestwór
[siny —
Rozległa się pod niebem jego pieśń ochocza.
Wznosząc się coraz wyżej, kołysząc miarowo,
Podobny stał się wkońcu plamce w niebie szarej,
Lecz i w tej wysokości pieśnią brzmiał perłową,
Trylami wciąż czystszemi snując swoje czary.
„To ptaszę wierzy w Boga — rzekł braciszek
[młody —
Jastrzębia mu ni łowcy lękać się nie trzeba.
Wiara jest źródłem lotów tak śmiałych swobody.
To ptaszę wierzy w Boga — świadkiem moim
[Nieba."
Starzec odparł: — „Skowronki, gdy pośród zieleni
Młodych zbóż już ukończą gniazdeczka budowę,
Odczuwają pragnienie — poety pragnienie:
Wylać radość swą — z światem dzielić ją gotowe.
Wtedy to, widzim, niebo skrzydełkami porze
Małżonek ów szczęśliwy, przez nią już przyjęty,
Jakby miał dotrzeć z pieśnią w same progi Boże
I miał ją słyszeć sam Stworzyciel jego święty.

Cóż każe śpiewać mu: to, czego się spodziewa?
Nie!... to, co posiadł już — szczęśliwy, że ma żonę,
A może i ojcostwa szczęście pieśń opiewa,
Miłości, owo szczęście, co nam nie sądzone!"
Młody rzekł — w głosie brzmiała rezerwa surowa:
— „Co jest z ciała — już oczu naszych nie zapali.
Od pokus jego niechże Niebo nas uchowa!
Lewiciśmy święceni — lepiejśmy wybrali:
Ołtarz, modły i posty, co umartwią ciało."
Brat starszy z gorzkim na to przemówił
[uśmiechem:
— „Gdym był młody, i mnie się, bracie, tak
[zdawało."
Słowy temi wstrząśnięty, by piekielnym grzechem,
Młodzian się mimowoli wzdrygnął przerażony,
Lecz starzec ciągnął dalej: — „Przebacz, moja
[wina,
Tajemnicym nie ustrzegł, w sercu mem noszonej.
Zdumionyś tem wyznaniem... niech mnie nie
[wyklina
Biednego myśl twa, lecz gdy wspomni — niech
[żałuje.
Czas pokajania dla nas nie istnieje, bracie,
Już bliski kres męczeństwa — mało mi brakuje.
Módlmy się, módlmy wspólnie: ty za mnie, ja
[za cię!"

Słońce już zachodziło, więc w zadumie, cisi,
Wstali. Ścieżka ich wiodła zpowrotem ta sama,
Skalna, wąska, przez którą wyszli obaj mnisi.
Żelazna się za nimi zatrzasnęła brama.

Przełożył Profanus.

Teatr Narodowy: „Historja dwu serc" (Romance), Komedja Sheldona, w nowej adaptacji de Flers'a i de Croisset'a



AKT I. SCENA POZNANIA. PASTOR (OSTERWA), PRIMADONNA (CAVALINI) ĆWIKLIŃSKA Fot. Jan Malarski



AKT II. ĆWIKLIŃSKA (PRIMADONNA), PASTOR (OSTERWA), MILJONER (STANISŁAWSKI

AUTORA DRAMATYCZNEGO—DRAMATYCZNY ŻYWOT

(Z powodu wystawienia „Romance" w Teatrze Narodowym)

Edwarda Sheldona grana obecnie w Teatrze Narodowym „Historja dwu serc", w oryginale znana pod tytułem „Romance", była już piątym z rzędu utworem dramatycznym młodego wówczas, w roku 1914, wychowanka uniwersytetu Harvard i ucznia słynnego znawcy dramatu i profesora dramaturgji, Jerzego Bakera. Z jego sztuk poprzednich na wspomnienie zasługuje przedewszystkiem jego „Murzyn", tragedja młodego Amerykanina, pochodzącego ze stanów południowych, który u wstępu swej pięknie zapowiadającej się karjery politycznej dowiaduje się o swojem mieszanem napół murzyńskiem pochodzeniu i musi uledz twardej tradycji przesądów, nazawsze wykluczającej go od wszelkich wystąpień w życiu publicznem.

Młody Sheldon, urodzony w środowisku czysto amerykańskiem w Middle West, już jako młody chłopiec okazywał niezwykłe zamiłowanie do wszystkiego, co nosiło w sobie pierwiastek kultury europejskiej. Szybko rozpoczął podróże po Europie, z których powracał co roku jako entuzjasta tej kultury, szczególnie rozmiłowany w sztuce włoskiej i muzyce niemieckiej.

Poznałem go w jego uroczem, bardzo „z włoska" urządzonem mieszkaniu w New Yorku zimą roku 1915. Tego samego roku spędziłem część lata w gościnie u Neda — jak go wszyscy mu bliscy nazywali — w miejscowości nadmorskiej Easthampton. Z Johnem Barrymorem, słynnym aktorem amerykańskim, spędzaliśmy w trójkę przemiłe dnie na plaży a wieczory w pełnych uroku, świecami oświetlanych pokoikach wynajmowanej przez Sheldona willi w stylu włoskim. Ned czytał nam swoją sztukę, w której John Barrymore miał grać główną rolę, a mnie przeznaczył na jej reżysera.

Tak dziwnie się złożyło, że z powodu pewnych, zresztą bardzo nieznacznych poprawek, których Sheldon miał dokonać za naszemi wskazówkami, świetny autor „Romansu" sztuki tej nigdy nie dał na scenę. W parę miesięcy później ja pojechałem do Kalifornji, a Barrymore otrzymał engagement na Broadwayu jako Fedja w Tołstoja „Żywym trupie", który był jego największym tryumfem aktorskim.

Natomiast lato roku następnego Sheldon i ja spędziliśmy w Santa Barbara, przemiłej miejscowości nadmorskiej w Kalifornji. Tam widywaliśmy się codziennie po kilka godzin. Pełna uroku i przemiła rozwiedziona żona Barrymora, kochana Katarzyna, późniejsza pani Leonowa Orłowska, żona naszego dyplomaty z Waszyngtonu, dziś już niestety nieżyjąca, była duchowym łącznikiem dla wszystkich bliskich osób Neda Sheldona. I ona również ubóstwiała muzykę i śpiew, więc często w trójkę siadywaliśmy przy fortepianie, gdy Ned próbował przypominać sobie partytury oper, a myśmy sobie do nich mniej lub więcej wrzaskliwie nucili słowa tekstów niemieckich i francuskich. Wszyscy odcięci od Europy, porwanej w wir wojny światowej, marzyli o niej, każde na swój sposób to straszne odgraniczenie odczuwający. Mówiłem im często o Polsce, do której nie mogłem się dostać, nawet starałem się przyswoić im kilka naszych piosenek, tak, że melodję i słowa tej ludowej piosenki „Od Krakowa czarny las" przy końcu wakacji nieźle już śpiewali.

Sheldon, cały pochłonięty przez wpływy europejskiej subtelności, mimo to pozostał do końca autorem nawskroś amerykańskim. Lato w Santa Barbara spędzone było pod znakiem wielkiego tryumfu jego sztuki „Romance", właśnie granej tego roku w Londynie przez oryginalną odtwórczynię tej roli w New Yorku, Doris Keane. Owa historja dwu serc — najlepsza zresztą sztuka Sheldona — to najpiękniejsze świadectwo jego wielkiej miłości dla Europy, jako personifikacji odwiecznej bogatej kultury artystycznej. Równocześnie jest to hołd Amerykanina z najlepszej klasy intelektualnej dla bogactw duchowych europejskich, stałem korytem na grunt Nowego Świata się przelewających. Wreszcie jest to jeszcze wielki pokłon ciasnej pruderji moralnej i hipokryzji świata anglosaskiego przed piękną swo-

bodą uczuć i przed przywilejami serca, tak ważkiemi w katolickiej tradycji krajów galijskich.

Autor, amerykanin i filozof społeczny, w tym utworze dramatycznym, na dzisiejsze pojęcia nie pozbawionym pewnej naiwności, odsłania również niedwuznacznie czysto osobiste upodobania młodego człowieka, kochającego się w Italji, tym razem uosobionej w czarującej śpiewaczce, Ricie Cavalini. Otóż owa diva operowa — to nie kto inny, jak słynna kiedyś na cały świat z urody i cudownych kształtów Lina Cavalieri, która na dziesięć lat przed napisaniem „Romance'u" przyjechała do New Yorku i wywołała tam w świecie artystycznym i towarzyskim niezwykłą furorę. Zakończył się ten entuzjazm dla pięknej Włoszki napozór nieco lepiej, niż w Sheldonowskim romansie, gdyż Cavalieri została żoną bardzo zamożnego, z doskonałej rodziny manhattańskiej pochodzącego malarza, p. Roberta Chandlera. Oryginał ów, znany dobrze i lubiany powszechnie Bob Chandler, rozwiódł się z nią po kilku latach, a piękna Lina poślubiła wówczas świetnego tenora francuskiego, Lucjana Muratore. Dla ludzi pewnej epoki Lina Cavalieri została do dnia dzisiejszego ową jakąś romantyczną postacią, zabłąkaną na twardy bruk nowojorski, która jak meteor światłem swojem obdzieliła dosyć niewesołe i trudem pospiesznej pracy spocone czoła zdobywców złota.

Ned Sheldon obok wielkiego talentu dramatopisarskiego posiadał osobiście niesłychaną żywość umysłu, wdzięk młodzieńczy i dar zjednywania sobie przyjaciół. *Był, tak się zdawało, ulubieńcem bogów i ludzi.* I nagle to zdrowe, wspaniale się rozwijające drzewo zostało rażone zgoła niespodziewanym piorunem. Lat temu dziesięć Sheldon w pełni swoich sił zostaje dotknięty jakąś najdziwniejszą w świecie chorobą, która zpoczątku objawia się osłabieniem ogólnem organizmu, następnie mimo wysiłków najświetniejszych lekarzy doprowadza go do zupełnego zaniku sił fizycznych. Rodzaj paraliżu, złośliwy jakiś zarodek choroby, której przypadki w historji świata można niemal wyliczyć na palcach, zwala go na długoletnie prawdziwe łoże boleści. Od tej chwili już nigdy Sheldon nie podniósł się z łóżka i nie odzyskał władzy w członkach. Wychudły i wyżółkły, pozbawiony władzy w rękach i nogach, autor „Romansu" od dziesięciu lat przykuty do łóżka, właściwie fizycznie umarły, nie przestał jednak żyć intensywnem życiem duchowem. Kilka sztuk dramatycznych wyszło z pod pióra jego współpracowników, u jego boku, niemal pod jego dyktandem piszących stale utwory żywe, z ostatniem tempem życia współczesnego współdrgające. Niektóre z nich miały olbrzymie powodzenie i przyniosły autorowi sporo pieniędzy, koniecznych do opędzania pewnego komfortu z utrzymaniem tego inwalidy związanego.

Zainteresowania tego człowieka za życia na śmierć skazanego ani na chwilę się nie osłabiły. Liczni jego przyjaciele i przyjaciółki stale go odwiedzają, najsłynniejsi wirtuozi przychodzą do niego i w jego mieszkaniu dają mu rozkosz najpiękniejszej muzyki świata, od kilku lat tem dla niego droższej, że obecnie Sheldon utracił również wzrok. Przez te długie lata cierpienia z ust Sheldona nie wyszło ani jedno słowo skargi lub narzekania na ten zbyt cierpki jego los.

Walka życia i śmierci na przestrzeni tylu lat i na tle tylu bolesnych przejść odbywa się co godzinę, niemal co minutę. Medycyna nie zna przypadku równego temu: duch zwycięża z nieznaną dotychczas w ludzkości potęgą i pokonał materję, złośliwą i nie zasługującą na zaufanie.

Na tle dzisiejszej Ameryki, której podwaliny moralne w walce z kłamstwem i obłudą wykazują niemoc wobec potęg podziemnych organizacji, ten rozkochany w europejskiej kulturze, szczery i prawdziwy Amerykanin i szczery i prawdziwy artysta swoją głęboką tragedją spłaca niejako częściowy dług za duchowe swego narodu przewinienia.

Ryszard Ordyński

SENSACYJNA PREMJERA W B. TEATRACH MIEJSKICH

„Miłość pod mikroskopem" M. Jewreinowa w Teatrze Nowym

Teatr Nowy zyskał ostatnio wysoką rangę. Maleńka jego scena kameralna stała się terenem wielkiej pra-premjery o rezonansie światowym: znakomity pisarz rosyjski, Mikołaj Jewreinow, grywany z powodzeniem przez największe sceny europejskie i amerykańskie (zwłaszcza: „To, co najważniejsze"), powierzył teatrowi Nowemu wystawienie swej najnowszej komedji „Miłość pod mikroskopem" — przed Paryżem, gdzie sztukę tę przygotowuje Dullin w swym głośnym awangardowym teatrze „Atelier".

Z wysoce odpowiedzialnego i reprezentacyjnego zadania teatr Nowy wywiązał się jaknajchlubniej, tembardziej, że nowa sztuka Jewreinowa daje szerokie pole do popisu aktorsko-reżyserskiego.

Apostoł teatralizacji życia i „teatroterapji", Jewreinow jest wierny swym naczelnym założeniom, którym w swych sztukach służy z tak porywającą pasją: propagowania prawa człowieka do złudzeń, do mistyfikacji szczęścia i obłudy, do świadomego reżyserowania życia z dużą dozą celowego kłamstwa.

Problem wzajemnego stosunku między „ja" świadomem a zdawna tkwiącem w człowieku „ja" pozaświadomem jest jednem z zagadnień sztuki.

W sztuce Jewreinowa, równolegle z walką dramatyczną w duszy jednego z bohaterów, profesora chirurgji dra Faure'a, efektownie zobrazowany jest konflikt komedjowy „świata nauki" ze „światem sztuki". Trzeźwy pozytywista prof. Faure utrzymuje, że „miłość jest jedynie nadbudówką naszej wyobraźni na podłożu seksualnem i analiza jej części składowych wykazuje mieszaninę popędu płciowego z instynktem rozmnażania". Jako kontrast, drugi bohater-irracjonalista, artysta-rzeźbiarz, twierdzi, że „miłość jest Bogiem: odczuwa ją się i widzi wewnętrznym wzrokiem — lub nie: nie pomoże wówczas najbardziej precyzyjny mikroskop".

Dwie te ideologje krzyżują się w stosunku do uroczej kobiety, pociągającej

Teatr Nowy: „Miłość pod mikroskopem" Jewreinowa





WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: GROMNICKA, BRYDZIŃSKI Fot. Jan Malarski ZIEJEWSKI I LUBIŃSKA

obu bohaterów, a sztuka kończy się akordem tryumfu i zwycięstwa uczucia i miłości nad chłodną spekulacją umysłową i racjonalizmem.

Ideologiczny związek „Miłości pod mikroskopem" z innemi sztukami Jewreinowa („To, co najważniejsze", „Okręt sprawiedliwych", „Wesoła śmierć", „Teatr wieczystej walki", „Kulisy duszy" i t. d.) jest ten, że człowiek najbardziej nastrojony racjonalistycznie w stosunku do otaczającego go świata i ludzi, zawsze, w głębi duszy, wyżej stawia twórcze przeobrażenie rzeczywistości, aniżeli „nagą prawdę", fantazję — aniżeli realność istniejącą, świat urojony, aniżeli świat faktów. Skłania człowieka ku temu bezświadomy pierwiastek duszy, archaiczne żądze i pociągi, atawistyczne upodobania i chuci.

Tę podstawową myśl przewodnią swej sztuki Jewreinow rozwija z fascynującą siłą i doskonale skończoną przejrzystością, doprowadzając precyzję sytuacji dramatycznych niemal do granic groteski.

Mistrz efektu teatralnego znowu napisał sztukę znakomicie sceniczną, z dużą ilością doskonałych ról, ze świetnemi spięciami dramatyczno-komedjowemi.

Wszystkie te walory sztuki świetnie wydobyła po snycersku wycyzelowana reżyserja mistrza Solskiego: jakże doskonale kameralnie wypieścił on wszystkie sytuacje, jakie kapitalne nadał im tempo, jak doskonale ożywił sceny zbiorowe, jaką elektrycznością przesycił akcję sztuki, jak pogłębił jej niezwykle emocjonujące momenty o wyjątkowo silnem napięciu dramatycznem!

Kreację pełną zwartej, intensywnej pasji urodzonego racjonalisty dał Brydziński jako prof. Faure. Ileż było barw w tej postaci, w której pod maską oschłości uczonego autorytetu i cynicznego sceptyka kryje się wrażliwy, jak dziecko, naiwny i głęboko czujący człowiek! Postać prof. Faure'a, to nowy wspaniały konterfekt do galerji psychopatologicznych okazów wśród r l Brydzińskiego

P. Gromnicka dała również kreację wysokiego stylu w postaci Olgi Norman, asystentki prof. Faure'a, podkreślając wieczną i zwycięską kobiecość, która tym razem utaiła się pod lekarskim fartuchem i pozornie męską zewnętrznością. W chwilach wysokiego napięcia uczuciowego p. Gromnicka miała nuty głęboko ludzkie. To jedna z najgłębszych — kto wie, czy nie najgłębsza — kreacji tej wybitnej artystki.

P. Socha, jako reprezentant psychiki i ideologii artysty, zarysował swą rolę z wyraźną linją logiki uczuciowej.

Prawdziwy tryumf odniosła występująca po raz pierwszy w b. teatrach miejskich p. Karolina Lubieńska w roli shisteryzowanej tancerki: była w swej bezpośredniości wręcz porywająca!

Nieco banalny typ pani Norman ożywiła osobistym wdziękiem p. Jarszewska, doskonale zarysowali środowisko młodych lekarzy pp Rożańska, Wroncki (subtelnie komiczny Alfred Barbier), Ziejewski, dyskretnie a wyraziście prostytutkę Zorżetkę zagrała p. Dullanka, duchownego zaś — p. Skarzyński.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje przekład i opracowanie „Miłości pod mikroskopem" dla scen polskich pióra Eugenjusza Świerczewskiego, znawcy twórczości Jewreinowa, autora studjum o świetnym pisarzu rosyjskim. Przekład ten — żywy i bardzo scenicznym językiem dokonany — wyszedł z pod pióra człowieka teatru.

Mistrz Frycz olśnił wszystkich 6-cioma zmianami dekoracyj, co na scenie teatru Nowego jest rekordem, dotychczas nieznanym. I pod względem technicznym więc scena ta zdała egzamin bardzo odpowiedzialny, rozszerzający niepomiernie jej możliwości realizacyjne.

Zastępca.



Na swojskie tematy!

Są pewne rzeczy na świecie, które można przewidzieć. Kiedy z kraterów w Andach wydobywał się dymek i od czasu do czasu dawały się słyszeć podziemne grzmoty, z pewnością niejeden uczony geolog z Santiago czy z Buenos Aires przepowiadał, co się stanie; dla warszawskich dzienników klęski w Południowej Ameryce były zgoła niespodziewaną gratką. Zato w Polsce nikt się nie zdziwił, kiedy przed samemi Zielonemi Świętami zostało stwierdzone, że nasz budżet musi być obcięty. Dwieście miljonów, — gdzie je wyskubać? Przyszły Święta i wraz z niemi nieprzewidziana przepiękna pogoda. Kto znajdzie trochę wolnego czasu, ucieka z Warszawy, przemierzając okolice stolicy bądź wiosłem, bądź kołem roweru, bądź zwykłym wycieczkowym butem.

Uczyniłem to, co inni. Wycieczka moja nie odbijałaby się niczem od zwykłego wycieczkowego szablonu (wybitny brak kultury w urządzeniu statku, żeglującego wśród równie wybitnego zaniku ruchu na Wiśle, skompensowany był komfortem autobusów na linji Płock — Zakroczym — Warszawa) — gdyby..., gdyby nie zupełnie szczególny nastrój, który mnie właśnie w ciągu tej wycieczki owładnął.

Bo tłocząc się na warszawskiej przystani, mózg mój jeszcze uginał się beznadziejnie pod ciężarem budżetowego niedoboru, na statku ogarnęły mię rozmyślania na temat obdłużenia rolnictwa, pod Bielanami uderzył smętnie fakt, że Wisła jest nieuregulowana i że dlatego tak się szeroko rozlewa... Ale dalej, zwłaszcza gdy trochę pasażerów ubyło, w lekkim poszumie wiatru poddałem się urokowi rzeki, która jest przecie jedyną atrakcją płaskich i brzydkich okolic Warszawy. Aż wreszcie, kiedy dojechaliśmy do Zakroczymia, zacząłem na świat patrzeć i gospodarcze koncepcje układać, biorąc za punkt wyjścia przybrane cudnem kwieciem wiśnie i jabłonie.

Toć przecie każda wycieczka szkolna marzy o tem, aby w czasie kwitnienia drzew owocowych tam się dostać. Zakroczym jest jednem z nielicznych malowniczych miejsc w najbliższych niemalowniczych okolicach stolicy. Wysoki brzeg, pocięty parowami — z brzegu przepiękny widok na rzekę, i ani jednej willi, ani jednego letniska. Stare pokurczone sosny szumią na lekkiej glince, która podobno jest wyjątkowa dla sadownictwa. Cisza, samotność. Pod urwistym brzegiem kołysze się lekko jedna samotna berlinka na kotwicy. Długo szukałem tych sadów, o których marzy młodzież szkolna. Tu kępka dwuch, tam znowu czterech drzewek odcinała się swoim kwieciem białym. Aż nareszcie wydobył się z piersi całej wycieczki jeden okrzyk. Oto, kiedy mocno opaleni wracaliśmy już autobusem do Warszawy, ujrzeliśmy ciągnący się wzdłuż szosy jeden wielki, biało i różowo kwitnący las. W niektórych miejscach był on tak gęsty, że zakrywał całkowicie linję wiejskich chat, rozbudowanych w odległości jakich stu metrów od szosy. Co to za wieś, jacy gospodarze tu mieszkają? Ciekawość — matka wiedzy. — Prędko dowiedzieliśmy się. Ta oaza owoców i warzywnictwa, ta wzorowa, mądra wieś nazywa się Skierdy. Gospodarstwa skomasowane, o przeciętnej wielkości 10 do 15 ha. Wieś była bogata, dopóki Wisła najżyźniejszych gruntów nie zabrała. Dzisiaj tyle tylko, że gospodarstwa nie są obdłużone. Wszyscy sobie powtarzają: — Trzeba przetrzymać. Nawet drzew się już nie bieli wapnem, bo by się nie opłacało. Takie pobieżne informacje otrzymujemy po krótkiej rozmowie z mieszkańcami. A samorząd? a szkoła? — cisną nam się pytania na usta. — Szkoła — jeden z chłopców wyciąga rękę i wskazuje wysoki budynek, pomiędzy zwałami białego i różowego kwiecia — tam mieści się szkoła i nasz kościół. — Jakto kościół? A tak, w niedziele i święta przychodzi tam pastor... — Pastor? — No, tak, my jesteśmy tu kolonja niemiecka. — Ach tak, kolonja niemiecka...

Piękny był ten sad i te ogrody warzywne, i gospodarstwa bez długów, chociaż drzewek już się wapnem nie bieli. Cóż, trudno, robaki niedługo może wszystkie wisienki zjedzą i po świnkach z kolei wisienek zabraknie. Tymczasem jednak ludzie sobie radzą... Czemuż nie wszędzie, w tej samej mierze?

Dr. Alfred Wielopolski

Dwudziestolecie zgonu B. Prusa

Minęło lat dwadzieścia od chwili zgonu twórcy „Lalki". Nasze korporacje literackie nie wystąpiły z inicjatywą przypomnienia tej smutnej i pamiętnej daty. Pisma B. Prusa poprzez szkoły prowadzą obecnie wielką wychowawczą pracę, promieniują umiłowaniem doli ludzkiej, budzą kult dla zdobywczości i pomysłowości umysłu. Najmłodsze pokolenie czytelników w dziełach twórcy „Faraona" odnajduje też same prawie walory beletrystyczne, co i ludzie jego pokolenia. W szkolnictwie średniem niedawno urządzono ankietę, niekrępującą w wypowiadaniu opinji, na temat, co podoba się, a co nie podoba się uczniom klas wyższych w utworach Prusa. Z górą sto odpowiedzi nadesłała młodzież. Należy zacytować taki oto charakterystyczny głos:

„Wielu moim kolegom, którzy interesują się historją, „Faraon" podobał się dlatego, że opisuje życie starożytnego Egiptu, dwór faraonów, intrygi kapłanów, życie i nędzę ludu. Ale mnie, interesującemu się raczej sprawami natury technicznej, bardziej ciekawemi wydały się *sztuczki kapłanów, oparte na znajomości fizyki i chemji. Toż samo w „Lalce"*: poglądy polityczne i poczęści społeczne *Prusa oraz romantyzm miłosny Wokulskiego* uważam za rzeczy dziś już przebrzmiałe; natomiast poszukiwanie przez *Geista metalu, lżejszego od powietrza*, i dążenie do zmiany oblicza świata przez wynalazek budzą we mnie gorące współczucie. Wogóle postać Geista jest dla mnie najbardziej interesującą z pośród wszystkich bohaterów Prusa. Po nim zaraz stawiam Ochockiego".

Opinja ta stwierdza, iż pisma Prusa nie utraciły siły atrakcyjnej.

Zjazd właścicieli nieruchomości

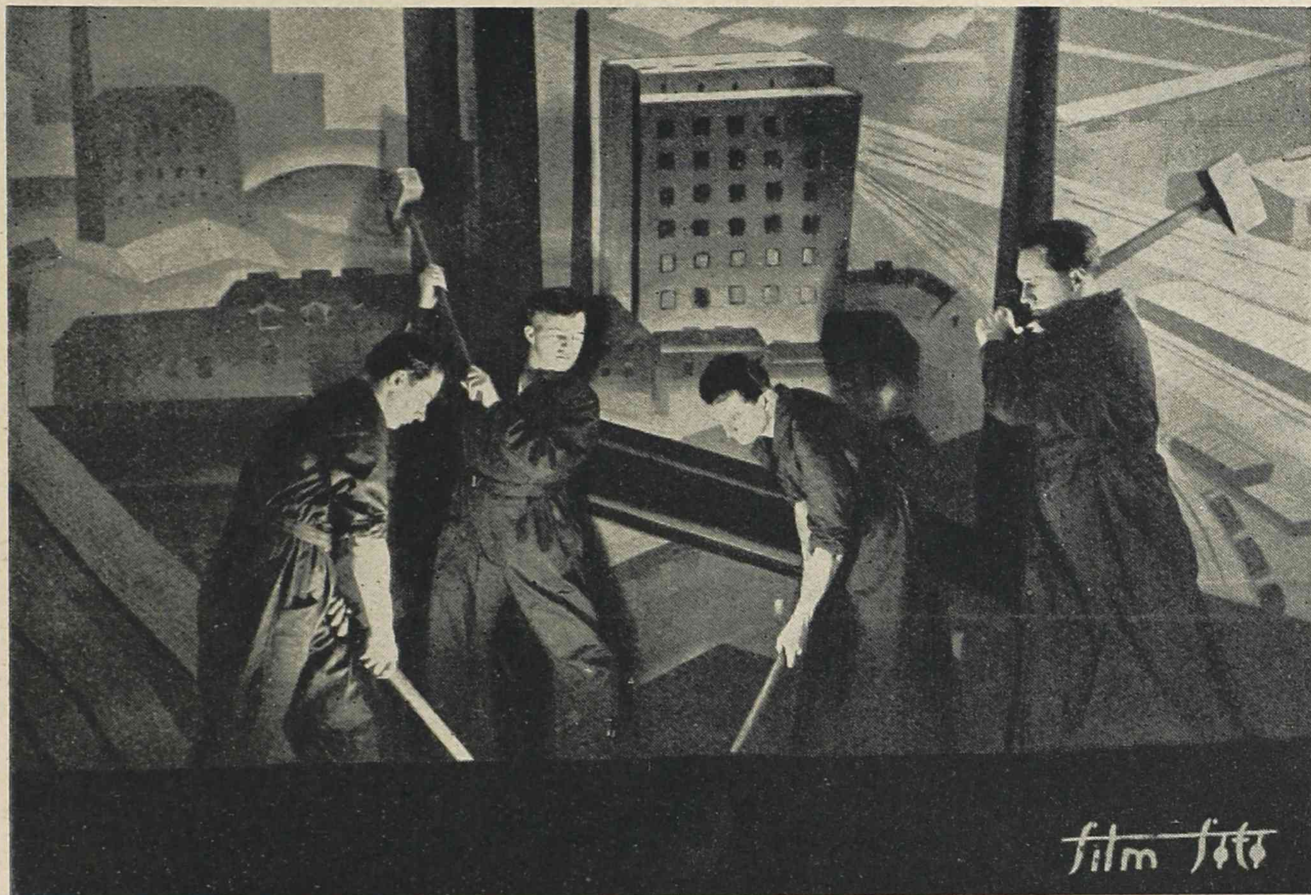
W dniu 23 maja r. b. odbył się w Warszawie zjazd właścicieli nieruchomości miejskich. Dla czasów obecnych zjazd ten jest zjawiskiem nadzwyczaj charakterystycznem. Od „kamieniczników" wymaga się, by rzetelnie wypełniali wszystkie świadczenia podatkowe i komunalne, a równocześnie zwalnia się $^3/_4$ lokatorów z obowiązku płacenia komornego. Według informacji, jakich udzielił zjazdowi prezes K. Janikowski, w Warszawie, 85% lokatorów może nie przestrzegać terminów płatniczych,

gdyż istniejące moratorjum w postaci zawieszenia prawa eksmisji bierze w obronę nietylko bezrobotnych, lecz każdego lokatora. Dekret p. Prezydenta daje bowiem szerokie pole do „interpretacji". Zawiera klauzulę: z moratorjum może korzystać każdy niepłacący, o ile usprawiedliwi swoją niewypłacalność!

Zjazd właścicieli nieruchomości miejskich w dezyderatach swoich nie wyszedł poza ramy rzeczywistego stanu finansowej opłacalności domów: prosi tylko, by podatki ściągano od faktycznie zainkasowanych sum za komorne. W wielu wypadkach bowiem posiadanie nieruchomości nietylko nie daje żadnych zysków, ale nakłada na właściciela ciężkie obowiązki podatkowe, sanitarne, policyjne.

Przedwojenny „kamienicznik", mieszczański ideał rentjera, w chwili obecnej stał się ofiarą swojej chęci posiadania. Kryzys gospodarczy niezadługo sprowadzi do zera jego własność.

Teatr Banda: Nowa rewja „Wiosna bandytów"



PLASTYCZNA ILUSTRACJA PRZEZ CHÓR DANA WZRUSZAJĄCEJ PIEŚNI HUTNICZEJ

Z MUZYKI



ROGER KS. CZETWERTYŃSKI, MŁODOCIANY KOMPOZYTOR (UCZEŃ PROF. P. RYTLA) KTÓREGO SONATĘ NA SKRZYPCE I FORTEPIAN WYKONANO PO RAZ PIERWSZY W DN. 11 B. M. W SALONACH RESURSY OBYWATELSKIEJ

ZBAWIENNE ODKRYCIE PROF. KÜSTNERA

Niejednokrotnie ostrzegaliśmy przed przesadnem stosowaniem kąpieli słonecznych ciała oraz nieracjonalnem sposobem opalania twarzy. Uwagi nasze znalazły obecnie pełne potwierdzenie w niezmiernie doniosłych odkryciach profesora H. Küstnera, który udowodnił doświadczalnie, iż nadmierny przypływ promieni ultrafioletowych do organizmu, osłabia sprawność gruczołów dokrewnych, a tem samem niszczy najżywotniejsze soki ożywcze ciała, t. j. — hormony. W wypadkach zatem lekkiej nawet niedomogi zdrowia powinien o dawkach naświetlania ciała słońcem zadecydować ordynujący w domu lekarz. Odnośnie do twarzy zaznaczamy, iż naświetlając ją bez odpowiedniego filtra, naraża się cerę na zupełne zmarnienie. Wszak naturalnym filtrem u ras ciemnych w strefie tropikalnej jest barwik. Jako idealny, a przystępny dla każdego filtr, polecam naświetlony krem sportowy „Ultrasol" Dra Lustra, który chroni przed zapaleniem skóry a mimo to ułatwia równomierne ściemnienie jej. Nadmieniam, iż krem „Ultrasol" nadaje się i w dniach pochmurnych do codziennego użytku. Nakoniec wymieniam kolory znanego roślinnego pudru egzotycznego Dra Lustra, nadającego się do użytku w lecie: Rachel soleill, naturalny, kremowy i różowy.

Niezasłużone tortury palacza

Faktem jest, że ogromna większość mężczyzn i pokaźna liczba kobiet pali tytuń; palą oni — że się tak wyrażę — systematycznie, palenie tytuniu odczuwają jako niezbędną funkcję życiową.

W związku z tym przyzwyczajeniem ogromnej liczby obywateli do palenia tytuniu — bardzo słusznie postąpiło państwo monopolizując w swoich rękach produkcję i sprzedaż tytuniu, gdyż: 1-o państwo daje gwarancję większej uczciwości, jako czynnik, który opiekuje się obywatelem pod każdym względem, 2-o osiąga z tego źródła bardzo poważne dochody dla Skarbu.

W ten sposób palacze b. pokaźnie zasilają budżet państwowy.

Zdawałoby się, że wobec tego należy im się ze strony państwa (a nawet i całego społeczeństwa) pewna opieka i sporo uprzejmości.

Tymczasem jest wprost przeciwnie: palacza na każdym kroku spotyka przykra szykana w postaci tabliczki z napisem: „Palić nie wolno" lub „Palenie wzbronione". Stwarza się sytuacja tak paradoksalna, że nawet, sale, hole i klatki schodowe w Minist. Skarbu (naczelna władza Monopolu Tytuniowego) obwieszone są tymi zakazami.

Władze miejskie poszły w wyścigu zakazów palenia jeszcze dalej, bo nawet zabroniły palenia papierosów w tramwajach. W praktyce wygląda to jako wielka udręka dla wielu obywateli.

Weźmy dla przykładu robotnika, który mieszka na Pradze, a pracuje na Woli. Człowiek ten w wielkim pośpiechu wstaje i zjada śniadanie. Papierosa mógłby zapalić dopiero w tramwaju, którym jedzie do pracy często prawie godzinę. Ale cóż! w tramwaju palić nie wolno. Rozumie się, że przy pracy w fabryce palić nie może.

Podczas powrotu tramwajem chciałby zapalić — znów nie może. Czyż naprawdę nie możnaby mu zezwolić na wypalenie jednego czy dwuch papierosów w przyczepnym wagonie.

Zdaje się, że nareszcie sprawa ta będzie załatwiona po myśli palaczy. Ostatnie pisma codzienne podały wzmiankę, że w Minist. Komunikacji jest w opracowaniu projekt rozporządzenia upoważniającego gminy miejskie do zezwalania na palenie tytuniu w wagonach tramwajowych przyczepnych.

W ten sposób palenie w tramwajach będzie ujęte w ramy naprawdę racjonalne. Obecny bowiem zwyczaj palenia na platformach obydwu wagonów mocno krępował palacza, bynajmniej nie chroniąc pasażerów wnętrza wagonu od łykania dymu, który przedostawał się do wagonu przez drzwi, nie znajdując dla siebie ujścia, zwłaszcza z nowych silnie oszklonych wozów tramwajowych.

Zdaje się, że wkraczamy w okres coraz bardziej racjonalnego i rozsądnego traktowania palaczy. Naprawdę im się to należy.

J. W.

PRZEZ CZARNE

Ludzkość składa się z optymistów i pesymistów. Jeden i ten sam fakt, jedno wydarzenie, wygląda zupełnie inaczej w oświetleniu malkontentów lub entuzjastów. Nietylko pewne zjawiska, ale nawet przedmioty martwe nabierają odrębnego wyrazu. Wstaje ktoś, jak to się mówi „lewą nogą". Najmniejszy drobiazg go drażni. Choćby do pokoju wpadało oślepiające słońce, będzie uważał, że jest za ciemno, aby się ogolić. Herbata mu nie smakuje: za zimna lub za gorąca, bułki czerstwe, masło nieświeże. Zrobi cierpką wymówkę żonie:

— Ja pracuję od rana do nocy, jak jak wół, łamię sobie głowę, aby związać koniec z końcem, a tu nawet głupie śniadanie nie jest przygotowane, jak należy...

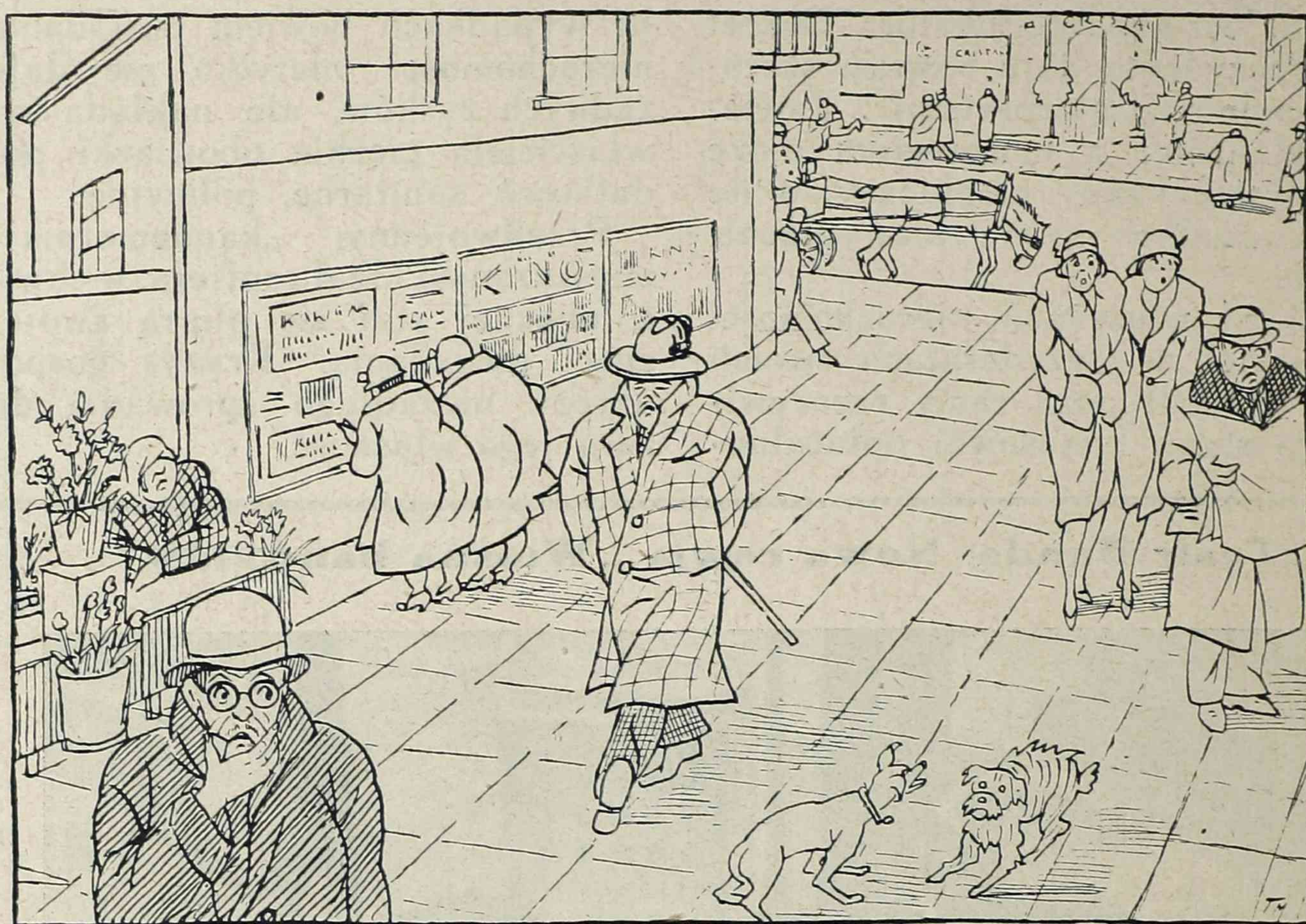
Zwinąwszy serwetkę, wstaje kwaśny i, mruknąwszy pod nosem zdawkowe „do widzenia", idzie do zajęcia. Ze wstrętem spogląda na dobrze sobie znane ulice, któremi codziennie przechodzi. Wydają mu się paskudne, brudne, sklepy o nędznych wystawach, domy odrapane. Przechodnie patrzą na niego z niechęcią, wszyscy mają ponure miny. Jeśli zaś przypadkiem zobaczy twarz uśmiechniętą — żachnie się znowu:

— I czego ten idjota się cieszy?...

W urzędzie, czy w sklepie, wszystko go irytuje. Każdy interesant, każdy telefon wywołuje zniecierpliwienie. W domu obiad przynosi nową falę złego humoru. Wieczorem żona, chcąc ułagodzić towarzysza doli i niedoli, namawia na teatr lub kino. I chociaż widowisko jest zupełnie dobre, na usta cisną się sarkastyczne drwiny z wykonawców i autora.

Wreszcie dzień przechodzi. Co się stało, że był taki smutny, ponury, zły? Czy jakieś niespodziewane zmartwienie, kłopot, strata, niepowodzenie w interesach? Nic podobnego. Normalny, zwykły dzień, podobny do tysiąca innych. Tylko rano, kiedy się obudził, jakiś złośliwy chochlik nałożył mu na nos niewidzialne czarne okulary.

Nazajutrz gwałtowna zmiana. Budzi się pełen radości, zapału, nowych projektów. Gwiżdżąc wesołą piosenkę, stwierdza, że żona bardzo ładnie wygląda. Podoba mu się również wstępny artykuł w gazecie, a w biurze orzeka, że panna Marysia jest doskonałą maszynistką, aczkolwiek wczoraj jeszcze dowodził, iż raczej powinna być fordanserką lub sklepową. Popołudniu z zaciekawieniem ogląda na wystawach nowości wiosenne, imponuje mu ruch, uśmiecha się do kobiet, a wieczorem z przyjemnością słucha radja, lub flirtuje z „własną, rodzoną żoną".



ZE WSTRĘTEM SPOGLĄDA NA DOBRZE ZNANE SOBIE ULICE...

Bo tego dnia właśnie spojrzał na świat przez różowe okulary i wydał mu się bardzo piękny.

Gdzie szukać przyczyny tego krańcowego ustosunkowania się naszego do codziennego, powszedniego dnia i jego zwykłych wydarzeń? W nas samych — w naszem *samopoczuciu*. Ono jest ową tajemnicą, która zabarwia nam świat na czarno lub różowo.

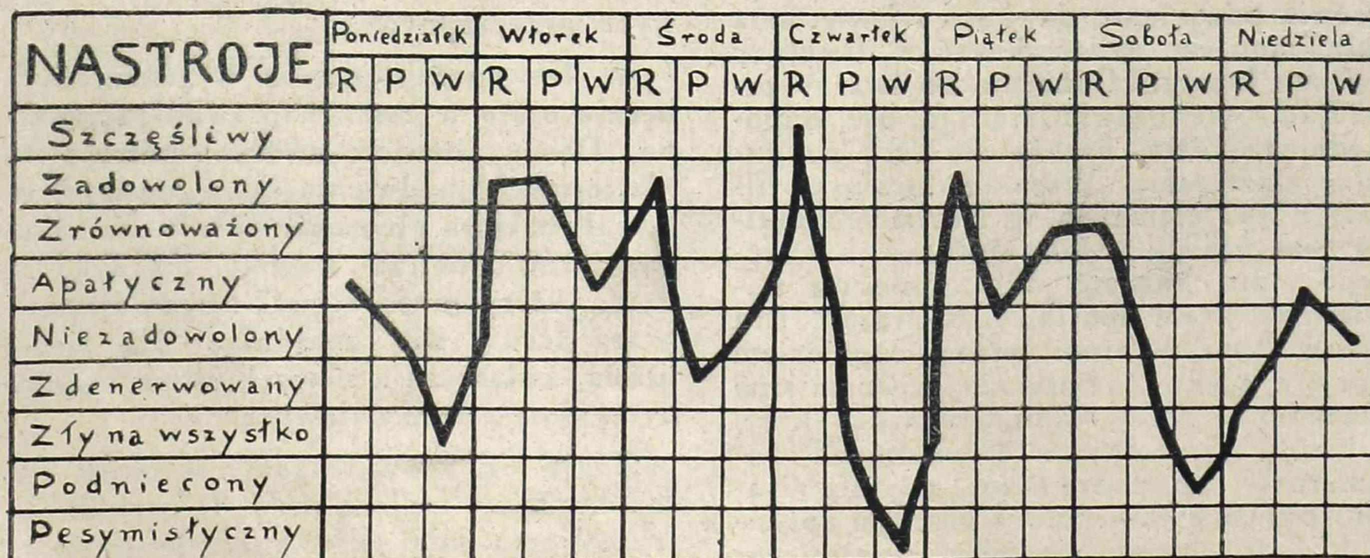
Z tego rodzaju pochmurnych i jasnych dni składa się całe życie. W powodzi wydarzeń zapominamy o naszych humorach. Nie wiemy, jak często byliśmy zadowoleni, lub też zniechęceni. Nie kontrolujemy swoich nastrojów. A szkoda. Bo zainteresowawszy się bliżej naszem samopoczuciem, możemy otrzymać wyniki bardzo ciekawe.

Jak to robić? Bardzo prosto. Samopoczucie jest stanem fizjologicznym naszych nerwów. Skoro dziś posiadamy najdokładniejsze wykresy rytmu serca, oddechu, krzywe gorączki, tak samo każdy z nas może posiadać najdokładniejszy wykres humoru, będącego spojrzeniem na świat przez odpowiednie okulary.

Weźmy załączoną tabliczkę i prowadźmy krzywą naszego samopoczucia. Gdy zbierze się już kilka takich tygodniowych biuletynów, porównajmy je ze sobą i wtedy najłatwiej zorjentujemy się, który tydzień był „dobry", a który „zły" i poszukajmy przyczyn.

Jakie one mogą być, odrzuciwszy wyjątkowe wypadki ciężkich trosk, choroby swojej lub bliskich, niepowodzenia, śmierci w rodzinie? Jakie są przyczyny, które zachmurzają nam zwykły dzień, lub też napełniają radością! Weźmy pod uwagę te najważniejsze, sprawiające, że dzień upływa nam miło. Przedewszystkiem dobry sen, łatwość pracy, zaufanie do siebie, pomyślne załatwienie spraw finansowych, chęć zabawy, lub pogawędki z miłymi znajomymi — plany na przyszłość, wreszcie interesowanie się odmienną płcią, przypływ energji, przedsiębiorczość. W dniu, w którym zaobserwujemy wszystkie te objawy, linja naszego samopoczucia będzie równa i utrzymująca się górnej części tabelki.

A teraz odwrotnie, co nam zaciemnia świat, czyni ludzi nieznośnymi, a życie nie do wytrzymania? Niewątpliwie, apatja i niechęć do pracy, sprzeczka z żoną, lub chlebodawcą, skłonność do irytowania się, wstręt do ludzi i towarzystwa, obojętność w stosunku do rodziny i przyszłości, niechęć do kobiet lub pogarda dla mężczyzn. Słowem, nastrój,



ZŁY I DOBRY HUMOR ZANOTOWANY GRAFICZNIE

I RÓŻOWE OKULARY



IMPONUJE MU RUCH, UŚMIECHA SIĘ DO KOBIET...

jaki tak świetnie określili jednem słowem rosjanie: — „naplewat"".

Kontrola samopoczucia jest nietylko rozrywką, zapewne inteligentniejszą od rozwiązywania krzyżówek, czy rebusów, lecz może stać się bardzo pożyteczną nauką panowania nad naszemi nerwami. Weźmy przykład: Krzywa pewnego tygodnia wypadła fatalnie. Świat przedstawiał się czarno, jak wnętrze krateru.

— O, do djabła!... powiada sobie człowiek — zaczynam mieć nerwy, jak stara histeryczka, trzeba się wziąć w garść...

I w następnym tygodniu krzywa idzie do góry. Nie odrazu może, lecz stopniowo. Powoli, powoli dojść możemy do mądrej, amerykańskiej dewizy, która nawet przy normalnych kłopotach i troskach przyczynia się bardzo do ułatwienia życia:

„Keep smiling!" — Bądź uśmiechnięty! Uśmiech jest bowiem najpiękniejszym darem nieba. W uśmiechu najbrzydsza twarz staje się pociągająca, odrapany dom wcale znów tak źle nie wygląda, zniszczony garnitur jest jeszcze do użycia... Słowem, uśmiech opromienia wszystko, dodaje zachęty do życia, budzi energję i wiarę w siebie.

Znałem kiedyś staruszka — lekarza, który, pracując kilkanaście godzin na dobę, tłukąc się do chorych żydowskiemi furmankami, słynął na całą okolicę z uśmiechu, rozpromieniającego dobrotliwą twarz i śnieżnobiałego gorsu koszuli. Pewnego dnia, w zimie, przyszedł do nas i śmieje się.

— Miałem rano pojechać do chorego, lecz nie pojechałem, bo mi ukradli baranicę. Takie mrozy, widocznie jakiemuś biedakowi było zimno... potrzebował... Ominęło mnie 30 wiorst, tylko żal mi tej baby, która na mnie czeka.

Inny poruszyłby cały powiat, pomstował na cały świat, przeklinał złodziejów i policję i żałował, że minęły już czasy średniowieczne, kiedy to złodziejom ręce i nogi obcinano. A ten zacny staruszek śmiał się. Omijały go też całe życie zmartwienia, bo czy to warto z takim zaczynać?

Mój znajomy, który prawdopodobnie teraz raj rozsłonecznia swoim dobrym uśmiechem, powinien być dla wszystkich przykładem. Zwłaszcza dla nas, Polaków, najsmutniejszych i najbardziej chyba skwaszonych ludzi na kuli ziemskiej. Jesteśmy ciągle i zawsze z czegoś niezadowoleni. Przyjdzie słoneczny, ciepły dzień wiosenny, kiedy wszystko się śmieje — źle. Bo nie zdążyło się obstalować czy odświeżyć lżejszego palta. Popsuje się pogoda, zachmurzy niebo — znowu źle.

— To ma być wiosna?!... klnie jeden z drugim i siedzi w domu nadęty, jak mops, albo idzie do zadymionej kawiarni, gdzie mu opowiadają o kryzysie, stagnacji, polityce, pułkownikach, wojnie, bezrobociu i uprzywilejowanych urlopach. Bierze gazetę — same okropności — słowem, koniec świata. Ani jednej radośniejszej wiadomości, uśmiechu, zadowolenia.

Czy ich niema? Są, jest nawet bardzo dużo. Tylko trzeba zdjąć czarne okulary, a zaraz wszystko inaczej będzie wyglądało. Świat ze swemi troskami jest piękny, należy jednak popracować nad sobą, skontrolować swoje nastroje i nie poddawać im się zbytnio.

A zresztą spojrzyjcie sami na te dwa rysunki.

Tak wygląda każdy z nas i to, co obejmuje swemi oczami. To skrawek codziennego życia, oglądany przez czarne i różowe okulary. Przyjrzyjcie się uważnie i porównajcie.

Dalsze komentarze zbyteczne.

j. s. w.

NAPAD NA EX-KRÓLA HISZPANJI



GONZALES MACARENES ZNIEWAŻYŁ EX-KRÓLA HISZPAŃSKIEGO W MARSYLJI. EX-KRÓL WYCHODZIŁ Z OKRĘTU, NA KTÓRYM ODBYŁ WYCIECZKĘ PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM. AWANTURNICZEGO NAPASTNIKA ARESZTOWANO NATYCHMIAST

Fot. Associated Press Photo

CO CZYTAĆ?

DWA ROCZNIKI „NAUKI POLSKIEJ"

Postęp wiedzy ludzkiej interesuje obecnie każdego człowieka. Naogół jednak wiadomości o zdobyczach naukowych docierają nie z właściwych źródeł. Któż bowiem informuje o wynalazkach, o nowych metodach techniki, o wzruszających odkryciach oraz inwencjach teoretyków i obserwatorów zjawisk życia? Przeważnie to czyni prasa codzienna, o ile posiada wolne szpalty od spraw sądowych, kryminalnych, politycznych lub gospodarczych. Nauka jest kopciuszkiem (wyróżnianym) w tych warunkach, a zresztą i właściwi jej reprezentanci nie zabiegają wcale, by płody ich prac przedostały się do wiadomości ogółu.

Mamy jednak w Polsce kilka czasopism, dających ścisłe, źródłowe, dobrze opracowane wiadomości o postępach nauki. Na czele ich należy postawić obfite, fundamentalne roczniki „Nauki Polskiej". Publikacje te wywołały nietylko u nas zrozumiałe głosy uznania. Świadczą one o dobrych tradycjach narodowych w dążnościach kulturalnych. Roczniki te, zajmujące się „organizacją nauki", postawiły sobie za zadanie cel ambitny, wypływający z naszego samopoczucia narodowego. Kierownicy tego wydawnictwa słusznie uważają, iż naród nasz w dziedzinie twórczości intellektualnej nie może być tylko konsumentem wiedzy, zdobytej przez inne ludy.

Piętnaście roczników „Nauki Polskiej" — to dorobek piśmienniczy, godny głębszej refleksji. Obecnie ukazały się prawie równocześnie dwie księgi: tom 14 i tom 15. Oba te wydawnictwa są nieocenionem źródłem informacyjnem, wskazują na czujność, z jaką organizatorzy naszej nauki idą na spotkanie potrzebom życia polskiego, zbiorowego. Znajdujemy bowiem tak charakterystyczne tematy, jak „utylitaryzm a czysta nauka" lub „o potrzebach matematyki stosowanej w Polsce". Któżby z laików przypuścił, iż pomimo „niebywałego wprost rozkwitu matematyki czystej w Polsce" nie mamy przygotowanych odpowiednich praktyków? Prof. Antoni Łomnicki mówi nam o tem w jasno napisanej rozprawie na ten temat, podaje sposoby otamowania ujemnego zjawiska. Jest to więc odrazu „djagnoza społeczna" i przepis kuracyjny, chlubnie świadczący o świadomem kierownictwie w zaspakajaniu szerszych potrzeb intelektualnych.

Ciekawą bardzo jest praca prof. Jana Rutkowskiego p. t. „Organizacja nauki a postęp nauki". Autor zwrócił uwagę na zjawisko nienowe, a jednak często niedoceniane, znamienne. Każdy wie, iż najświetniejsza organizacja nie zastąpi genjuszu twórczego. Często jednak zapomina się o tem i rozbudowuje się „organizację" kosztem twórczej jednostki. Prof. J. Rutkowski słusznie więc pisze:

„Zaprzęganie do pracy zbiorowej umysłów twórczych pewnego typu może być (nawet) dla postępu nauki bardzo szkodliwe(!). Są bowiem umysły, które prawdziwie twórczo mogą pracować tylko w pewnych dziedzinach nauki".

Jak daleko posunięta jest czujność na te sprawy, najlepiej świadczą szczegółowe referaty o stosunkach, panujących w Stanach Zjednoczonych, Jugosławji, Węgrzech, Hiszpanji. Niema prawie rocznika „Nauki polskiej", by nie można było porównawczo skonfrontować prac z dziedziny organizacji naukowej u narodów innych i u nas.

Tom XV w dużej części poświęcono „jubileuszowi pięćdziesięciolecia kasy im. Mianowskiego". Wyczerpującą pracę dał prof. Zygmunt Szweykowski. Wiele w niej znaleźć można ciekawych historycznych uwag. Rozkwit „Kasy im. Mianowskiego" w dużym stopniu przynosi zaszczyt uspołecznieniu ludzi z epoki przedwojennej. Ofiarność ich na cele naukowe dyktowana była zresztą i dumą narodową, szukającą oparcia dla niezależności politycznej w samodzielności myśli polskiej. Było to niewątpliwym przejawem woli i ambicji, by nie stoczyć się do poziomu niewolnictwa. „Kasa im. Mianowskiego" stała się siłą rzeczy na ziemiach b. zaboru rosyjskiego naszem „Ministerstwem Oświaty". Jej działalność zapisała się świetnemi głoskami, już chociażby przez wydanie „Poradnika dla samouków". Wiemy przecież, iż książki te poprowadziły walkę z rusyfikacją mentalności naszej ówczesnej młodzieży i wygrały ją. Bo jak stwierdza prof. Szweykowski.

„Młodzież, kształcąca się w rosyjskich i niemieckich uniwersytetach w większości niezdolna była zrozumieć polskiej książki naukowej".

„Nauka Polska" interesuje również dobrze prowadzonym działem sprawozdań i krytyk nowości naukowych polskich i zagranicznych. W tomie XV-ym zwrócić musi powszechną uwagę artykuł prof. Cz. Białobrzeskiego, znakomitego naszego fizyka, o znanej, głośnej książce A. S. Eddingtona p. t. „The Nature of the Phisical World". Dowiadujemy się niebywałych sensacji z tego sprawozdania. Największą jest, iż „właściwie w chwili obecnej zanika substancjalność materji". Co znaczy dla fizyka, iż „duch i materja" są w obecnym stanie nauki „substancjalnie jednakie".

Dwa te roczniki „Nauki Polskiej" inteligentnemu czytelnikowi dostarczą wiele emocjonujących wiadomości i obserwacji z wszystkich dziedzin myśli.

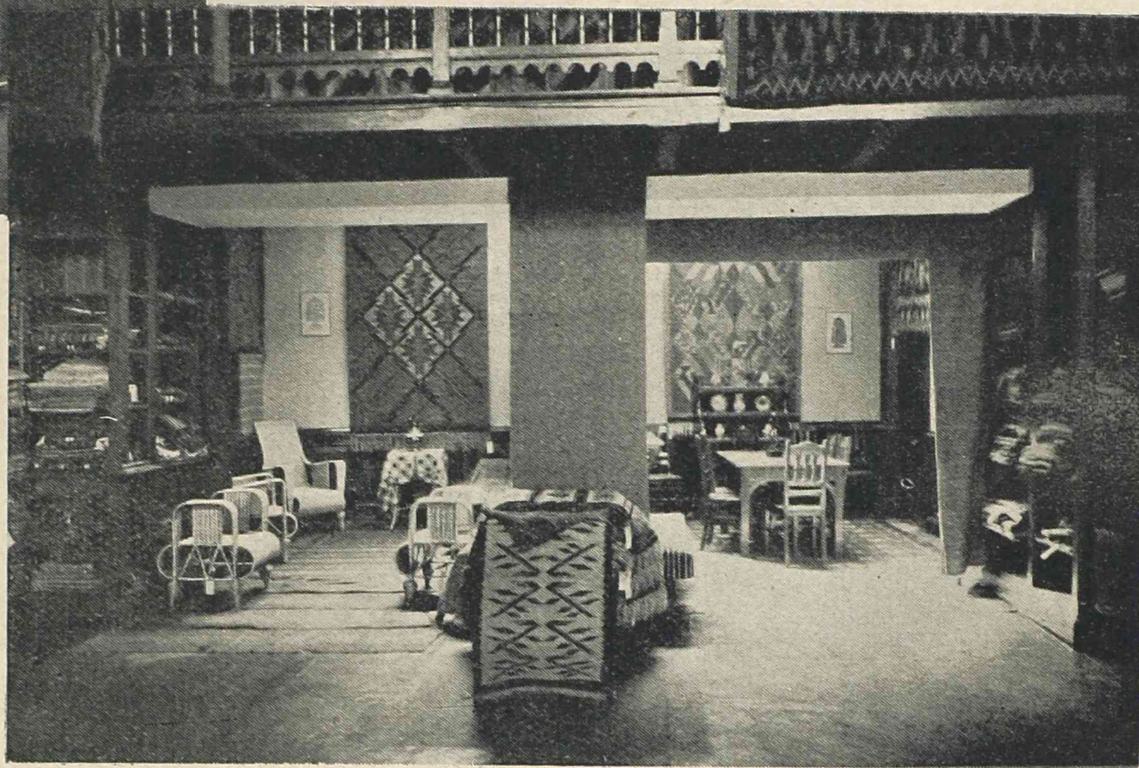
E. C.

WYSTAWA ZDOBNICTWA LUDOWEGO



CERAMIKA LUDOWA: HUCULSKA, KASZUBSKA, POLESKA, ŁOWICKA, PODHALAŃSKA

Fot. Marjan Fuks



WNĘTRZE DEKOROWANE KILIMAMI I TKANINAMI LUDOWEMI. NA PRAWO STOŁOWY POKÓJ W STYLU ZAKOPIAŃSKIM

Polska sztuka ludowa jest jednym z największych skarbów kultury narodowej. A jednak skarb ten bardzo mało jest znany ogółowi polskiemu.

Społeczeństwo polskie powinno podjąć starania aby wszystkie okazy zdobnictwa wydobyć i pokazać światu. Przecież w zdobnictwie ludowem przejawiają się pierwiastki samoistności naszej kultury narodowej. Wszystko to, co z naszej twórczości kulturalnej jest wielkie i wobec świata może się stać jako dzieło niezależne i nawskroś polskie, źródła natchnienia czerpie w twórczości ludowej.

Pracę narodową na odcinku opieki nad twórczością ludową prowadzi T-wo Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie, ul. Tamka 1 (tel. 271-50), dojazd tramwajami P i Z. Autobus B.

Towarzystwo w swym bazarze gromadzi wszystkie okazy zdobnictwa ludowego, a więc tkaniny, koronki, hafty, wyroby ceramiczne, rzeźby, wyroby skórzane, drewniane i t. p. Ostatnio T-wo wprowadziło dział meblarstwa ludowego, sprowadzając meble w stylu zakopiańskim, wyrabiane przez górali podhalańskich.

Równorzędnie z wyrobami ludowemi T-wo w Bazarze swym prowadzi wielki wybór kilimów artystycznych pierwszorzędnych wytwórni.

W Bazarze T-wa równorzędnie ze sprzedażą urządzona jest wystawa zdobnictwa ludowego. Zwiedzanie wystawy dostępne jest dla publiczności bez opłaty w godz. od 12 do 2 i od 4 do 6 po południu. Sprzedaż bez przerwy od 10 rano do 6 po południu.

W opiece nad twórczością ludu polskiego z T-wem Pop. Przem. Ludowego powinno współdziałać całe społeczeństwo.

Twórczość ludowa będzie się rozwijała tylko wówczas, gdy znajdzie ujście dla swych wyrobów. Dlatego też obowiązkiem każdego polaka jest popieranie twórczości ludowej przy każdej sposobności.

Gdy cośkolwiek potrzebujemy dla ozdoby własnego otoczenia, nie kupujmy tandetnych wyrobów fabrycznych, nie kupujmy przedmiotów, narzuconych nam przez przemijającą modę, lecz natomiast kupujmy ręczne wyroby ludowe, które posiadają żywy wyraz ducha twórcy, a więc zawsze są piękne i zawsze zachowują swą wartość.

Gdy z powodu jakichkolwiek uroczystości osobistych chcemy swym bliskim sprawić radość — nie kupujmy banalnych wyrobów luksusowych, które najczęściej pochodzą ze zbędnego importu, gdyż miast tego wiele można znaleźć wyrobów ludowych, które ze względu na swą niezaprzeczoną wartość artystyczną będą najmilszym upominkiem.

Doskonała zabawa dla dzieci w Łobzowiance



Łobzowianka dziś jest nieomal ośrodkiem zabaw dziecięcych, a to dzięki przejażdżkom minjaturowemi automobilami firmy „Tlenol-Ra", któremi dzieci całej Warszawy rozkoszują się wyrabiając się na przyszłych dzielnych — automobilistów. Dyrektor popularnej firmy „Tlenol-Ra" p. Rogiński wpadł na świetny pomysł propagandy kremu do pielęgnowania i czyszczenia zębów radioaktywną pastą „Tlenol-Ra", który to krem-pasta jest wytworem laboratorjum Stefan Rogiński w Warszawie, produkowany w/g Profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego D-ra Med. Napoleona Cybulskiego, który pierwszy w Polsce zastosował rad do kremu i eliksiru do czyszczenia zębów.

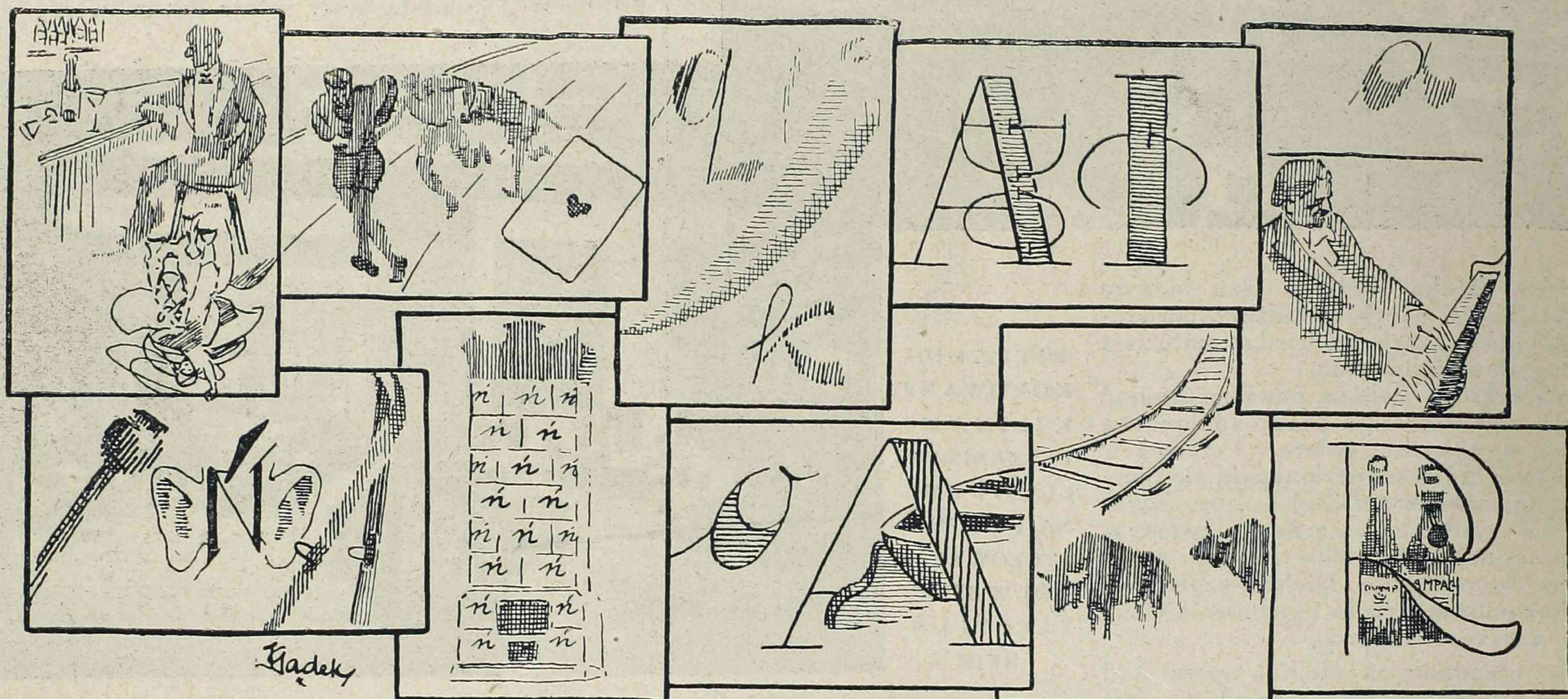
Oczywiście, że krem radioaktywny nietylko pielęgnuje zęby, lecz wzmacnia dziąsła i emalję nazębną, nadając jej lśniącą biel.

Jeśli się weźmie pod uwagę szalony popyt na krem i eliksir „Tlenol-Ra", cieszący się tak wielkiem powodzeniem to, mówiąc nawiasem, firmie tej reklama jest zbyteczna, gdyż krem radjoaktywny nie kosztuje — drożej od innych past bądź kremów do czyszczenia zębów, jednak inicjatywę tak oryginalnej reklamy zabawy sportowej dla dzieci, musimy powitać z całkowitem uznaniem.



№ 35 (138) REBUSIKI

(Za rozwiązanie 10 punktów).



Za trafne rozwiązanie niniejszego zadania Red. „Świata" przeznacza trzy wartościowe nagrody książkowe.

ROZSTRZYGNIĘCIE V-go KONKURSU KWARTALNEGO *(dok.)*

Lemański Zygmunt (54) — Wilno, Linderski Marjan (23) — Lwów, Lipińska Marja (18) — Marjówka Opoczyńska, Ludwicki Henryk (28) — Zagożdżon;

Łobodzianka Anna (16) — w. Ochle, Łopatto Jerzy (15) — Warszawa, Łukasiewicz Michał (40) — Białystok;

Madey Małgorzata (9) — Warszawa, Makowski Ignacy (47) — Grodno, Malinowski Stefan (69) — Lwów, Maliszewski Kazimierz (52) — Strzemieszyce, „Maryśka z Pohulanki" (33) — Wilno, (Mikowska St. (98) — Warszawa, Misiewicz Kornel (27) — Cieszyn, inż. Modrzejewski Józef (97)—Lublin, Mokrzycka Helena (10) — Drohobycz, Mondrzakówna Edwarda (15) — Warszawa, Morawski Janusz (49) — Bielsk, Moszczyński Edward (47) — Szamotuły;

Niemczyński Roman (31) — Warszawa, Nowicka Emilja (15) — Warszawa;

Oborski Karol (15) — Warszawa, Olszewska Irena (57) — Dęblin, Orzechowska Wanda (36) — Otwock, Ostaszewski Jan (6) — Warszawa;

Petrych Jan (88) — Wronki, Pieracki Zygmunt (95) — Wilno, Pretkielowa Stanisława (52) — Warszawa, Pruszyńska Jadwiga (10) — m. Brzezie, Przeradzka Wanda (6) — Łódź, Przygodzka Irena (7) — Zgierz, Puchowicz Kazimierz (38) — Warszawa;

Radomski Michał (34) — Łódź, Rakowiecka Helena (87) — Lublin, mgr. Rostafiński Marjan (56)—Warszawa, Rostkowska Halina (10) — Bydgoszcz, Rostworowska Róża (10) — m. Skobejki, Rowicki Tadeusz (28) — Milanówek, Roykiewicz Wacław (92) — Warszawa, Rozental D. (9) — Łódź, Rudnowa Janina (9) — Błonie, Rusicka Anna (45)—Kraków, Rzewicka Irena (15) — Będzin;

Sapiejewski J. (39) — Warszawa, Sawicka Karolina (64) — Białystok, Skupińska Marta (40) — Zamość, Sławnicki Michał (99) — Warszawa, Sobocki Baltazar (44) — Lisków Kaliski, Sokulski Władysław (36) — Katowice, Solecki Michał 57) — Wołomin, Sosnowski Kazimierz (73) — Katowice, Sowiński Mirosław (15) — Warszawa, Stasiewicz Czesław (20) — Równe, Stępiński Jan (10) — m. Radostowo, Stratilato Jan (100) — Warszawa, Sułkowska Leontyna (57) — Warszawa, Sułocka Janina (21) — Zgierz, Surma Józef (9) — Królewszczyzna, Syryczyńska Blanka (10) — Rożdzień-Szopienice, Szeliga Barbara (58) — Siedlce, Szczukowa Stanisława (6) — m. Chilczyce, Szwecowa Józefa (9) — Leszniów, Szymko Michał (8) — Podbrodzie; Śląska Bogumiła (12) — m. Ciuślice;



Tarnowski Władysław (63—Grodzisk, Teleżyńska Weronika (17) — Chełm, Tietz Zygmunt (98) — Warszawa, Tobias Henryk (37) — Kielce, „Tolek z Królewszczyzny" (92), Tomaszewska Józefa (15) — Poznań, Trawińska Honorata (31) — Warszawa, Troniewska Helena (16) — Równe Tyblewski Wacław (100) — Poznaj, Tymowski Franciszek (10) — Warszawa;

Uklański Aleksander (76) — Warszawa, Urbańska Halina (46) — Lwów.

Węgierski Tadeusz (26) — Miłosna, Wiśniewska Teofila (59) — Warszawa, Witkowska Maryla (15) — Warszawa, Wolińska Józefa (25)—Warszawa, Woyciechowski Zygmunt (10) — Toruń, Wójcik Tadeusz (15) — Wieliczka, Wróblewska Janina (61)—Cukrownia „Marja" w Sójkach, Wysocka Ludwika (31)—Dubno;

Zabłocki Gabrjel (78) — Łuck, Zagajewski Adam (54) — Warszawa, Zajączkowska Zofja (10) — Sydzyna, Zakrzewski Leon (59) — Radom, Zaleski Czesław (42) — Kalisz, Zawadzka Anna (77) — Ciechanów, Zborowska Teresa (57) — Warszawa, Zelcer Adam (15) — Lwów;

Żelichówna Marja (9) — Warszawa, Żelichówna Zofja (9) — Warszawa, inż. Żmigrodzki Józef (10) — Nowogródek, Żukowska Irena (91) — Warszawa Życzyński Bohdan (32) — Nowogródek.

Wykaz Laureatów podamy w następnym 23 numerze.

KRAJOWE ZAWODY KONNE W WARSZAWIE



Na zawodach konnych w Warszawie, odbył się konkurs „Armji Polskiej" im. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Nagrodę w tym konkursie zdobył kpt. Jan Sałęga, na koniu „Nella". W dniu tym na zawodach był obecny p. Prezydent Rzplitej oraz p. Premjer Prystor. Wręczenia nagrody p. Marszałka Piłsudskiego dokonał osobiście p. Prezydent Rzplitej, widoczny na naszem zdjęciu w chwili dekorowania konia. Pozatem na zdjęciu widać zdobywcę nagrody kpt. Sałęga, Janusza ks. Radziwiłła i in. Fot. „Światowid"

Szlakiem Dziesiątej Muzy

NOWA PLACÓWKA FILMOWA

Wytwórnia filmowa „Zjednoczeni" (Jasna 24) rozpoczyna wkrótce realizację pierwszego swego dźwiękowca, osnutego na tle życia i śmierci głośnej w swoim czasie gwiazdy scenicznej, Marji Wisnowskiej (scenarjusz pióra J. Krzewińskiego i L. Brodzińskiego). Na czele wytwórni stoją dyr. J. Zagrodzki i p. L. Brodziński.

Do ważnej komicznej roli dyrektora teatru (postać wzorowana na niezapomnianym i popularnym niegdyś ś. p. Kaz. Zalewskim) pozyskano już cenionego i lubianego artystę, Henryka Małkowskiego. Pozatem prowadzone są pertraktacje z Witoldem Conti, który wystąpi w roli tenora operowego (postać wzorowana na głośnym w swoim czasie Myszudze, który odegrał wybitną rolę w życiu Wisnowskiej) i Sikiewiczem-Wasiliewem, który odegra rolę mordercy (jak wiadomo, był nim oficer rosyjski Bartieniew).

Rola tytułowej bohaterki nie jest jeszcze obsadzona, ale będzie to niewątpliwie prawdziwa sensacja, która poruszy całą artystyczną Warszawę.

Z ZA KULIS EKRANU

Jeanette Mac Donald po ukończeniu zdjęć do filmu „Kochaj mnie zawsze" wyjeżdża do Paryża, gdzie wystąpi w „Wesołej wdówce" — na scenie.

Gary Cooper powrócił z Afryki południowej, gdzie upolował, podobno, dwa lwy w sercu Afryki, — w okolicy Naiwaszu.



Konkurs Łazienek. Na zdjęciu p. Leska na „Negrze" w efektownym skoku

Lloyd Hughes, który gra obecnie w filmie „Cudotwórca" obok Sylwji Sidney i Chester Morrissa, obchodzi obecnie 15-lecie swej pracy aktorskiej.

JARACZ NA EKRANIE

Stefan Jaracz w najbliższym czasie ukaże się na ekranie w filmie Blokfilmu „Księżna Łowicka". W filmie tym znakomity artysta odegra rolę wielkiego księcia Konstantego, męża Joanny Grudzińskiej, księżnej Łowickiej. Zdjęcia odbywają się już pod kierunkiem pp. M. Krawicza i St. Szebeki.

ROUBEN MAMOULIAN

Powodzenie, jakie stało się udziałem dwuch filmów Mamouliana „Wielkomiejskich ulic" i wyświetlanej obecnie w „Colosseum" przeróbki noweli Stewensona „D-r Jekyll i M-r Hyde", zwróciło na tego reżysera powszechną uwagę.

Rouben Mamoulian nie jest Hindusem, jak mówiono, urodził się w Tyflisie, ukończył szkołę w Paryżu, zaś wyższe studja pobierał na uniwersytecie w Moskwie. Był reżyserem teatralnym w Rosji, potem zaś reżyserem jednej ze scen londyńskich.

Nazwisko jego było już wówczas tak znane, że zmarły niedawno prezes Eastman Kodak Company — George L. Eastman, sprowadził Mamouliana do Ameryki i powierzył mu kierownictwo „American Opera Company" w Rochester, niewielkiem lecz słynnem ze swej wysokiej kultury muzycznej — mieście.

Młody reżyser rosyjski szybko zdobył rozgłos i wkrótce na prośbę Theatre Guild przeniósł się do New Yorku. Każda z jego nowych inscenizacyj scenicznych była przedmiotem długotrwałych dyskusyj i zachwytów.

NOWA GWIAZDA W SPORCIE POLSKIM



P. Weissówna, lekkoatletka z Pabjanic, jeszcze niedawno ustanowiła rekord Polski w rzucie dyskiem, co wysunęło ją odrazu na czoło świata lekkoatletyki. W krótkim bardzo czasie, ćwicząc się intensywnie, bije kilkakrotnie własny swój dotychczasowy rekord i obecnie zdobywa miano rekordzistki świata, zaćmiewa chwałę dotychczasową słynnej Konopackiej - Matuszewskiej i staje się murowaną kandydatką do lauru olimpijskiego w Los Angeles.

Nasza ankieta o małżeństwie

Uwzględniając liczne życzenia Czytelników, przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi na ogłoszoną w numerze 17-tym ankietę do dnia 31-go maja r. b.

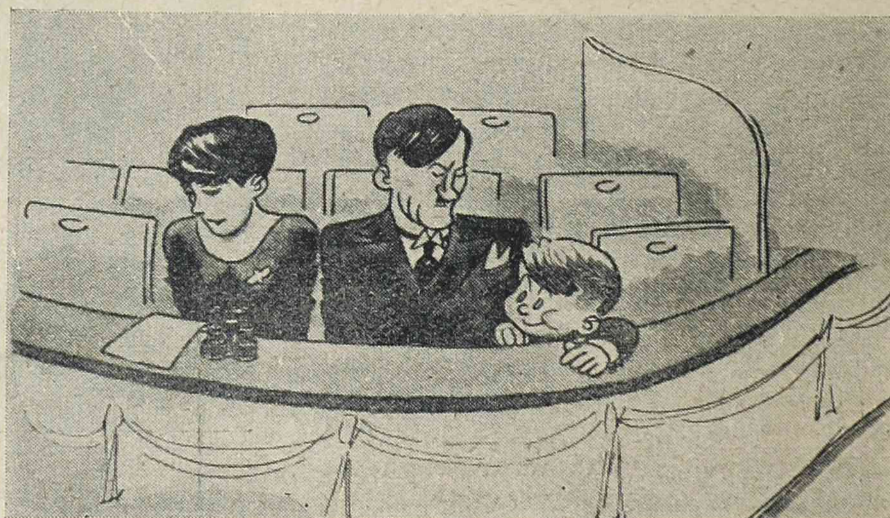
Przypominamy, że kwestjonarjusz ankiety obejmował trzy główne pytania:

A. Czy i w jakich warunkach należy wstępować w związki małżeńskie?

B. Jak i jakiego współmałżonka należy wybierać?

C. Warunki szczęścia i przyczyny kryzysów małżeńskich.

Do zeszytu następnego załączymy dla abonentów „Świata" znakomitą powieść amerykańską p. t.: **EX ŻONA** znanej belletrystki URSZULI PARROTT. Powieść ta napewno wzbudzi wielkie zainteresowanie



W TEATRZE

— Uważaj, bo spadniesz. Tam miejsce kosztuje 20 złotych. Musiałbym za ciebie dopłacić!

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5 50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł, rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Druk. Galewski i Dau, Warszawa

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA CZERWIEC 1932

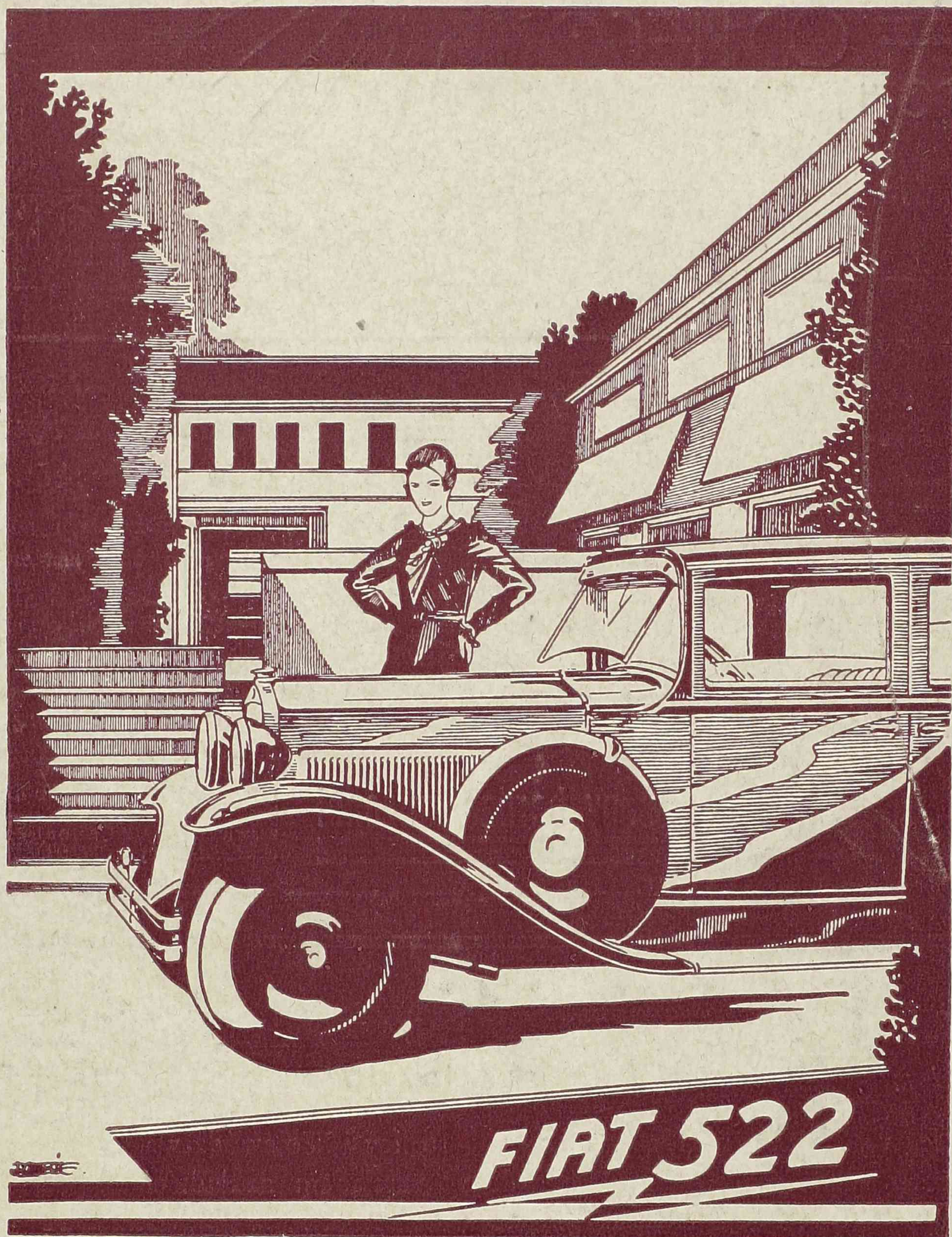
KUPON ZNIŻKOWY Nr. 15

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

ważny od 27/V do 2/VI r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.

50%

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.



Luksusowe limuzyny 5-cio osobowe za cenę

zł. 18.000

6 cyl. — 2516 cm³ — 55 KM

3-ci i 4-ty bieg cichobieżny.
Hydrauliczne hamulce na 4 koła.
Ręczny hamulec na transmisję.
Amortyzatory oliwne.
Sworznie resorowe Silentblok

to cechy charakterystyczne najnowszego modelu Fiat'a, który ukaże się na rynku już jako wyrób polski, produkcji Państwowych Zakładów Inżynierji, pod marką



Wyłączna sprzedaż:

POLSKI FIAT S.A.
WARSZAWA HOTEL EUROPEJSKI